



DR INŻ. MICHAŁ REN

PRAECEPTOR OPTIMUS

s. 12



„PRAECEPTOR LAUREATUS” 2021

Dydaktycy z pasją

s. 14-19



FOT. ADRIAN WYKROTA

Romantyzm zatriumfował!

Stanisław Rosiek – historyk literatury, eseista i wydawca – laureatem Nagrody im. Adama Mickiewicza. Anna Dżabagina, Urszula Honek, Maciej Jakubowiak wśród nominowanych do Nagrody – Stypendium im. Stanisława Barańczaka.

W gabinecie rektora UAM, na specjalnie zorganizowanym briefingu prasowym (22.04) ogłoszono nazwiska laureata Nagrody Literackiej im. Adama Mickiewicza oraz nominowanych do Nagrody - Stypendium im. Stanisława Barańczaka. W uroczystości udział wzięli prof. Bogumiła Kaniewska, rektor UAM oraz Jędrzej Solarz, wiceprezydent Poznania.

– Nasz laureat, Stanisław Rosiek, jest twórcą, który bardzo trudno wpisuje się we wszelkie szufladki. Jest on bowiem eseistą, wydawcą i znawcą literatury - zwłaszcza romantycznej. Jest także badaczem literatury nieoczywistej, która w dużym stopniu z romantycznym widzeniem świata przez emocje i płataninę rozmaitych doznań jest bardzo silnie powiązana – mówiła prof. Bogumiła Kaniewska.

Nazwiska nominowanych do Nagrody – Stypendium im. Stanisława Barańczaka odczytał Jędrzej Solarz. Są to:

Anna Dżabagina – historyczka literatury, adiunktka w Instytucie Literatury Polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Członkini Pracowni Badań nad Historią i Tożsamościami LGBT+ UW, współpracowniczka zespołów Archiwum Kobiet i Dramat Polski/Reaktywacja w Instytucie Badań Literackich PAN. Obecnie w ramach grantu OPUS z NCN pracuje nad książką o safickiej twórczości polskich, rosyjskich i ukraińskich pisarek. Prowadzi zajęcia z queerowej historii literatury kobiet na podyplomowych Gender Studies IBL. Publikowała na łamach m.in. „Tekstów Drugich”, „Pamiętnika Literackiego”

Poznańska Nagroda Literacka została ustanowiona wspólnie, w 2015 roku, po śmierci Stanisława Barańczaka, przez Jacka Jaśkowiaka, prezydenta Poznania oraz prof. Bronisława Marciniaka, ówczesnego rektora UAM

„Didaskaliów”. Autorka monografii „Kalkowska. Biogeografia” (Gdańsk 2020), a także edycji zbioru opowiadań Eleonory Kalkowskiej „Głód życia” (Gdańsk 2016).

Urszula Honek – autorka książek poetyckich „Sporysz”, „Pod wezwaniem”, i „Zimowanie”. W 2022 roku debiutowała prozatorsko w wydawnictwie Czarne zbiorem opowiadań „Białe noce”. Laureatka Grand Prix Konkursu Poetyckiego im. Rainera Marii Rilkego, Narody Krakowa Miasta Literatury UNESCO i Nagrody im. Adama Włodka. Pochodzi z Racławic (k. Gorlic). Mieszka w Krakowie.

Maciej Jakubowiak – eseista, krytyk literacki, doktor literaturoznawstwa, wicenaczelný magazynu „Dwutygodnik”. Autor książek „Ostatni ludzie. Wymyślanie końca świata” (Czarne, 2021) oraz „Nieuchronny plagiat” (IBL PAN, 2017). Jego teksty można znaleźć też w „Tygodniku Powszechnym”, „Polityce”, „Znaku” i „Piśmie”. Od 2021 roku juror Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. Laureat Nagrody im. Adama Włodka (2022), nagrody Krakowska Książka Miesiąca (2022) i Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO (2020), nominowany do Odkryć Empiku (2022). Weganin, żona, córka, dwa psy, pochodzi z Żor, mieszka w Krakowie.

Poznańska Nagroda Literacka została ustanowiona wspólnie, w 2015 roku, po śmierci Stanisława Barańczaka, przez Jacka Jaśkowiaka, prezydenta Poznania oraz prof. Bronisława Marciniaka, ówczesnego rektora UAM. Składa się z dwóch części. Nagroda im. Adama Mickiewicza w wysokości 60 tysięcy zł przyznawana jest za całokształt twórczości, natomiast Nagroda im. Stanisława Barańczaka (40 tysięcy zł) trafia do twórcy, który nie ukończył 35 roku życia.

W latach ubiegłych laureatami Nagrody im. Adama Mickiewicza byli Zbigniew Kruszyński, Erwin Kruk, Tadeusz Sławek, Anna Bikont, Wiesław Myśliwski, Krystyna Miłobędzka a laureatami Nagrody-Stypendium im. Stanisława Barańczaka – Kira Pietrek, Magdalena Kicińska, Małgorzata Lebda, Szczepan Kopyt, Tomasz Bąk i Monika Glosowicz.

Magda Ziółek



ZDJĘCIA NA OKŁADCE: ADRIAN WYKROTA

WYDARZENIA

- 2 | **Romantyzm zatriumfował!**
- 4 | **Welcome Centre. Jakby ktoś pytał: Św. Marcin 78**
- 6 | **W zdrowym ciele zdrowy duch**
- 8 | **Wielkie Grillowanie 2022**
- 9 | **Za długoletnią służbę**
- 9 | **Recytowali ballady i romanse**
- 10 | **Organiczni w XXI wieku**
- 11 | **Spotkanie starego i nowego Gniezna**

DYDAKTYCY

- 12 | **Dydaktycy z pasją**
- 12 | **Dr inż. Michał Ren: A ja bym chciał inaczej**
- 14 | **Anna Bryłowska: Zaczęło się od pustej klasy**
- 14 | **Dr Wiesław Banach: Wyzbyć się ideologicznego zaślepienia**
- 15 | **Dr Mirosław Radoła: Uwolnić słońca**
- 15 | **Prof. Kazimierz Iłski: To są nasi młodzi przyjaciele**
- 16 | **Bas van der Ham: Samotność w sieci**
- 16 | **Dr Jakub Niebieszczański: Pandemiczny początek**
- 17 | **Dr Paweł Motek: Cierpliwość przede wszystkim**
- 17 | **Dr Michał Krotoszyński: Recepta na udane zajęcia**
- 18 | **Dr Tymoteusz Horbiński: Każda grupa jest wyjątkowa**
- 18 | **Prof. Justyna Humięcka-Jakubowska: W humanistyce chodzi o logiczny wywód**
- 19 | **Dr Joanna Urbańska: Cały czas się rozwijam**
- 19 | **Ks. prof. Janusz Nawrot: Uczenie dla życia**

NAUKA

- 20 | Rozmowa z prof. Tomaszem Wicherkiewiczem
Nie dla mnie elficki
- 22 | **DARIAH spełnia marzenia filologów**
- 24 | Rozmowa z dr Lucyną Marzec
Iła i Grabosia czyli poetka i jej służąca

WRACAMY DO TEMATU

- 26 | **Wyjść ze strefy komfortu**

LUDZIE UAM

- 28 | Rozmowa z prof. Iwettą Andruszkiewicz
Prowadzę
- 30 | Rozmowa z Lechem Dymarskim
Ze wsparciem akademickich nauczycieli



Welcome Centre. Jakby ktoś pytał: Św. Marcin 78

FOT. Z ARCHIWUM

Świetne miejsce. Centrum miasta. Przestrzeń na szlaku cesarsko-królewskim. Na trasie niemal każdej grupy turystycznej. Miejsce, obok którego przechodzą tysiące studentów zmierzających choćby na Stary Rynek. Welcome Centre UAM zaprasza, integruje, organizuje. Otwiera stacjonarną siedzibę w Collegium Martineum.

- To było moje, nasze wymarzone miejsce. W dzielnicy zamkowej, na trasie z rektoratu do Muzeum Enigmy, przy najbardziej legendarnej ulicy miasta. Czy można chcieć czegoś więcej? - pyta retorycznie Marcin Witkowski, główny wykonawca pomysłu stworzenia Welcome Centre UAM, jednego z efektów projektu w programie Welcome to Poland, Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej NAWA. - To świetne miejsce by promować uczelnię i przyciągać studentów, gości i naukowców oraz dydaktyków z zagranicy.

150 metrów kwadratowych podzielonych na trzy części - recepcyjną, warsztatową i biurową. W części środkowej możliwe są szybkie zmiany aranżacji wnętrza i przystosowania go do potrzeb spotkań, wykładów czy warsztatów. Jednorazowo można tu gościć około 50 osób.

W końcu 2018 roku NAWA rozstrzygnęła pierwszy konkurs dla polskich uczelni, w ramach programu Welcome to Poland. Wtedy to do UAM popłynęły pierwsze pieniądze na materiały promocyjne i szkolenia dla kadry. Zarówno tej naukowo-dydaktycznej, jak i administracyjnej, z zakresu szeroko pojętej internacjonalizacji. Doskonalono praktyczne aspekty obsługi studenta zagranicznego, prowadzono warsztaty komunikacji międzykulturowej, pokazywano jak radzić sobie z sytuacjami konfliktowymi oraz poznawano nowe metody kształcenia języka angielskiego, którego znajomość także wspierano wśród pracowników UAM.

Chwilę później w rozwoju stacjonarnego punktu Welcome przeszkodziła pandemia, ale działania tej sekcji (WeC) Centrum Wsparcia Współpracy Międzynarodowej przeniosły się na dwa lata do internetu. Ostatecznie przestrzeń zajmująca cały parter Martineum od ul. Św. Marcin została dzięki środkom UAM wyremontowana i wyposażona w końcu roku 2021 i w styczniu roku 2022. Welcome Centre nawiązało współpracę z mieszczącym się tam wcześniej projektem Bilingualism Matters w celu synergii działań tego międzynarodowego projektu, poświęconego rozpowszechnianiu wiedzy na temat dwu- i wielojęzyczności oraz wielokulturowości z aktywnościami Welcome. Nie byłoby tego, gdyby nie dofinansowania ze strony NAWA i UAM, które partycypowały w kosztach.

- Obecnie mamy dużą i nowoczesną przestrzeń, która służyć ma przede wszystkim studentom zagranicznym, a także np. badaczom czy nauczycielom wizytującym. A wszystko to dzięki przychylności zarówno kanclerza UAM **dr Marcina Wysockiego** jak prorektorów, **prof. Katarzyny Dziubalskiej-Kończak** i **Rafała Witkowskiego**, a także wielu działów administracji, od zamówień publicznych, przez dział techniczny i sekcję remontów aż po kierownictwo projektu „Uniwersytet Jutra” - mówi pomysłodawca Centrum. - Słowem, mamy się czym szczycić, bowiem i miejsce i sposób jego zagospodarowania i funkcjonalność należą, naszym zdaniem, do najlepszych w kraju.



Welcome Centre działało od początku pandemii w trybie online, a stacjonarnie działa od lutego bieżącego roku. Prowadzone jest przez **Joannę Janas i Marcina Witkowskiego**. Dodatkowo na najbliższe 12 miesięcy jednostka otrzymała kolejny grant NAWA, tym razem m.in. na zatrudnienie trzeciej osoby. Przyda się to bardzo, bo obowiązków jest tutaj mnóstwo.

Praca z cudzoziemcami została podzielona na trzy etapy. Przed przyjazdem konsultowane na bieżąco są sprawy dotyczące tego, co jest potrzebne do przeniesienia swojego życia do obcego kraju; potem, w trakcie pobytu tego, co jest niezbędne dla życia w Polsce i Poznaniu, a etap trzeci to dbałość o to, by studenci zagraniczni po zakończeniu pobytu na UAM byli prawdziwymi ambasadorami naszej uczelni w świecie. Zresztą dotyczy to nie tylko studentów pełnych studiów w j. angielskim, czy uczestników programu Erasmus+, ale przecież także całej wymiany w ramach umów bilateralnych, programów rządowych i fundacji stypendialnych, jak również doktorantów i pracowników z zagranicy. Słowem, każdy może przyjść do Welcome Centre u zbiegu ulic Kościuszki i Świętego Marcina i otrzymać pomoc w postaci informacji np. jak załatwić sprawy bytowe, życiowe, formalne – na uczelni lub w mieście, gdzie zrobić zakupy, jak znaleźć szkołę czy przedszkole dla dziecka dwu- bądź wielojęzycznego. – Informujemy o tym, czym dysponuje UAM i co ma w ofercie miasto. Pomagamy załatwić sprawy życia codziennego, kierując do odpowiednich jednostek UAM. Zainteresowanie jest bardzo duże – przyznaje Joanna Janas.

– Bywa, że przychodzą do nas ludzie prosto z ulicy. W ostatnim czasie, co zrozumiałe, często zaglądają obywatele Ukrainy. Służymy im za dodatkowy punkt informacyjny i kontaktowy. Mamy pakiety informacji po ukraińsku, które aktualizujemy i udostępniamy. We współpracy z miastem chcielibyśmy jeszcze widzieć u nas Centrum Informacji Miejskiej, ale to przed nami, chociaż już dziś jesteśmy dla CIM poniekąd jednostką pomocniczą – dodaje Marcin Witkowski.

Jak już wspomnieliśmy, Welcome Centre to przede wszystkim świetna przestrzeń do organizacji warsztatów, integracji, ale też promocji uniwersytetu. Już teraz sekcja WeC realizuje w każdym roku akademickim od 30 do 50 wydarzeń, w tym te organizo-

wane przy współpracy z Erasmus Student Network UAM. To między innymi wycieczki po mieście, ale i poza miasto np. do Kórnik czy Rogalina. Na liście priorytetów są też np. Toruń i Gdańsk, jako miejsca mniej oczywiste niż popularna Warszawa czy Kraków. Przewiduje się serię wykładów i szkoleń o kulturze i historii Ukrainy i Polski. Będzie też wystawa amerykańskiego fotografa mieszkającego długi czas w Poznaniu, Eryka Witsoe i mobilna wystawa poświęcona projektowi Welcome. Do tej pory zrealizowano już wiele wydarzeń specjalnych. Przykładem mogą być zaplanowane na początek każdego semestru tygodnie orientacji poświęcone poznawaniu uczelni, miasta i regionu. Są liczne warsztaty, seminaria i prezentacje. Inspiracją są też np. różnego typu święta, regionalne czy kulturowe bądź religijne, ale także wydarzenia uniwersalne kulturowo, np. akcja sprzątania świata, światowy Dzień Książki, czy obchody pierwszego dnia lata. Był warsztat pieczenia chałek żydowskich, malowania woskiem pisanek ukraińskich, spotkania w polskiej tradycji świątecznej i wiele innych.

– Bywamy na przykład w Muzułmańskim Centrum Kulturalno-Oświatowym na Górczynie, bo nie każdy wie, że mamy w Poznaniu meczet, co jest ważne dla wielu naszych studentów z krajów muzułmańskich. Odwiedzamy także nasz Wydział Teologiczny, nie tylko przy okazji wycieczek do poznańskiej katedry. Celebrujemy różnorodność kulturową, ucząc jednocześnie polskich zwyczajów, *savoir-vivre'u* i historii Polski. Szczycimy się współpracą ze wszystkimi jednostkami UAM, mającymi styk z kulturami świata, co wynika choćby z faktu, że mamy jedyną w Polsce wietnamską czy najlepszą w kraju filologię koreańską – podsumowuje Marcin Witkowski. – Na każde wydarzenie można się zapisać, korzystając z anglojęzycznej strony UAM lub profilu na FB. Na naszych spotkaniach najczęściej są studenci tureccy, ukraińscy, hiszpańscy, włoscy, greccy, bo to wynika z popularności UAM wśród przedstawicieli tych narodów, ale zdarzają się też Indonezyjczycy, Nigeryjczycy, Indusi i inni. A będzie ich więcej. To też nasze zadanie.

Krzysztof Smura

**Więcej informacji na temat Welcome Centre
można znaleźć na stronie www.amu.edu.pl/en**

W zdrowym ciele zdrowy duch

W Dniu Sportu studenci i pracownicy UAM mierzyli się ze sobą, rywalizując oraz współuczestnicząc w wielu dyscyplinach sportowych. W maratonie jogi wzięła udział także prof. Bogumiła Kaniewska, rektor UAM.

Kilka tysięcy studentów i pracowników uczestniczyło w Dniu Sportu UAM. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że wydarzenie to jest organizowane od ponad 70 lat. Wszystko zaczęło się w latach 50. Od tego czasu studenci i studentki kultywują tradycję, promują aktywność fizyczną i tworzą sport na uniwersytecie.

W tym roku akademickim w zmaganiach międzywydziałowych bierze udział ponad 3,5 tysiąca studentów z 15 wydziałów, również studenci pochodzący z całego świata. Ten innowacyjny w skali kraju projekt polega na rywalizacji na wielu sportowych arenach. Turniej, w którym bierze udział coraz więcej pracowników UAM, w tym dziekani i prorektori, jest koordynowany przez kilkudziesięciu pracowników Studium Wychowania Fizycznego i Sportu.

Podczas Dnia Sportu na Morasku zawodnicy i zawodniczki kilku dyscyplin rozegrali finały, które wyłoniły zwycięzców całorocznej rywalizacji. Wieczorem **prof. Zbyszko Melosik**, prorektor UAM, wręczył puchary zwycięzcom.

W maju rozstrzygnięto też akcję Wiosenny RozRUCH. Zwyciężyło Collegium Polonicum – 47 studentów i pracowników pokonało łącznie 10 441,68 km! Pierwsze miejsce w kategorii rower zdobył Łukasz Lipowski, który „wykręcił” ponad 1 722 km.

Ewa Konarzewska-Michalak

Zdjęcia Adrian Wykrota





Wielkie Grillowanie 2022

- Wreszcie się udało, mamy to! - powiedziała prof. Joanna Wójcik, prorektor UAM, otwierając Wielkie Grillowanie, które wróciło na Morasko po trzech latach obostrzeń pandemicznych. Studenci odebrali klucze do miasta z rąk przedstawicieli Integralii, wydarzenia zorganizowanego przez studentów UEP, AWF i UMP.



FOT. 3X ADRIAN WYKROTA

Koncerty, strefa animacji, grillowanie, aleja z gastronomią były największymi atrakcjami pierwszego dnia (11 maja) tegorocznego Wielkiego Grillowania. Zainteresowanie było ogromne - w imprezie wzięło udział 15 tysięcy osób. W przedsprzedaży sprzedano około 10 tys. elektronicznych biletów, co stanowiło 99% wszystkich sprzedanych biletów! Wydarzenie zorganizował Samorząd Studencki i Fundacja Jeden Uniwersytet. Wieczorem na scenie przed Collegium Physicum klucze do miasta z rąk organizatorów Integralii odebrali przedstawiciele Wielkiego Grillowania, m.in. **Daria Kamrowska**, przewodnicząca Samorządu Studentów UAM i Magdalena Pietrzak, koordynatorka imprezy.

Zanim to się wydarzyło, prof. Joanna Wójcik oficjalnie otworzyła Wielkie Grillowanie. - Wreszcie się udało, mamy to, po trzech latach nieplanowanej przerwy, na uniwersytet wraca Wielkie Grillowanie. Wraca dzięki ogromowi pracy i staraniom was wszystkich - mówiła.

Studentki i studenci świetnie bawili się na koncertach zespołów: LIT, Roxana Tutaj & Good Omen, Prohibicji i Bitaminy, gwiazdy pierwszego dnia Wielkiego Grillowania. Drugiego dnia na scenie wystąpili raperzy DJ WJS, Otsochodzi i gwiazda - Peja. Warto wspomnieć, że 5 zł z każdego biletu będzie przekazane na organizację półkolonii letnich dla dzieci z Ukrainy.

Ewa Konarzewska-Michalak

Za długoletnią służbę

W Auli Lubrańskiego Collegium Minus wręczono Złote, Srebrne i Brązowe Medale za Długoletnią Służbę pracownikom UAM. Odznaczenia wręczała prof. Bogumiła Kaniewska, rektor UAM oraz Aneta Niestrawska, wicewojewoda wielkopolski.

Medal Złoty za Długoletnią Służbę otrzymali:

Małgorzata Stobiecka (pośmiertnie)
Prof. dr hab. Zbigniew Zwoliński, Wydział Nauk Geograficznych i Geologicznych
Prof. UAM dr hab. Tadeusz Gaworzewski, Wydział Pedagogiczno-Artystyczny
Iwona Grenda, Wydział Prawa i Administracji
Grażyna Kabacińska-Hattab, Wydział Prawa i Administracji
Romana Lipońska, Studium Językowe
Prof. dr hab. Magdalena Piorunek, Wydział Studiów Edukacyjnych
Honorata Teresa Boczek, Ogród Botaniczny
Prof. UAM dr hab. Renata Graf, Wydział Nauk Geograficznych i Geologicznych
Zbyszko Jacek, Administracja Centralna
Elżbieta Leokadia Jasiczak, Administracja Centralna
Dr Izabela Marciniak, Wydział Neofilologii
Prof. UAM dr hab. Renata Anna Michalak, Wydział Studiów Edukacyjnych
Dr Barbara Nagengast, Wydział Biologii
Dr Przemysław Nuc, Wydział Biologii
Prof. dr hab. Jerzy Jan Parysek, Wydział Nauk Geograficznych i Geologicznych
Prof. dr hab. Izabela Maria Prokop, Wydział Neofilologii
Marek Roszyk, Administracja Centralna UAM
Elżbieta Teresa Rygielska, Wydawnictwo Naukowe
Bogusława Schramm, Wydział Historii
Prof. UAM dr hab. Andrzej Sitarski, Wydział Neofilologii



FOT. ADRIAN WYKOTA

Barbara Spychała, Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej
Przemysław Stolarski, Centrum Informatyczne
Bożena Elżbieta Świstek-Oborska, Biblioteka Uniwersytecka UAM
Prof. dr hab. Krystyna Elżbieta Tuszyńska, Wydział Neofilologii
Dorota Walkowiak, Administracja Centralna
Renata Joanna Wilgosiewicz-Skutecka, Biblioteka Uniwersytecka
Dr Krzysztof Wojciechowski, Collegium Polonicum
Dr Hanna Wysocka, Wydział Anglistyki
Medal Srebrny za Długoletnią Służbę otrzymali:
Prof. UAM dr hab. Danuta Kopeć, Wydział Studiów Edukacyjnych
Prof. UAM dr hab. Norbert Kordek, Wydział Neofilologii
Medal Brązowy za Długoletnią Służbę otrzymał:
Prof. UAM dr hab. Jerzy Borowczyk, Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej

Recytowali ballady i romanse

Do konkursu zgłosiło się 50 kandydatów, z których komisja wybrała 16 finalistów. Ostatecznie w Salonie Mickiewicza zaprezentowało się 14 osób. Każda z nich przedstawiła swoją interpretację wybranego utworu z „Ballad i romanse”.

G ości powitała **prof. Elżbieta Winiecka**, dyrektor IFP i przewodnicząca jury. **Prof. Krzysztof Trybuś** krótko przypomniał kulisy wydania pierwszego tomu „Poezji”, zaś **prof. Krzysztof Skibski** młodym recytatorom udzielił ostatnich porad dotyczących m.in. emisji głosu. W przerwie występów uczestnicy zwiedzali Collegium Maius.

Zwyciężczynią konkursu została Julia Gąsiorek uczennica I LO im. Marii Skłodowskiej-Curie z Ostrzeszowa. Jury przyznało też drugą i trzecią nagrodę. Otrzymały ją kolejno: tegoroczna maturzystka Karolina Klemczak oraz studentka filmoznawstwa na UAM Paulina Zinger.

Laureatka odebrała czytnik e-booków wraz z trzymiesięcznym abonamentem na e-booki od legimi.pl. Konkurs zorganizowano z inicjatywy Centrum Marketingu UAM.

ziol



FOT. ADRIAN WYKOTA

Organiczni w XXI wieku

„Nie podoba mi się stwierdzenie, że uczelnia kształci pracowników, nie podoba mi się stwierdzenie, że uczelnia kształci ekspertów albo profesjonalistów. Uczelnia ma kształcić ludzi, którzy będą pracować, którzy będą pracownikami, ekspertami, profesjonalistami” – mówiła prof. Bogumiła Kaniewska, rektor UAM podczas zorganizowanej przez Unię Wielkopolan i WNPiD debaty „Wolna – Organiczna – Wielka”[21. 04].



Debata zgromadziła w auli wydziału licealistów oraz studentów WNPiD, a otworzyli ją Paweł Klepka, prezydent Unii Wielkopolan i **prof. Andrzej Stelmach**, dziekan WNPiD. Obaj podkreślali znaczenie idei pracy organicznej i konieczność realizacji tej idei w życiu codziennym. Debata była tłumaczona na język migowy.

W panelu WOLNA udział wzięli **prof. UAM Zbigniew Pilarczyk**, wiceprezydent Unii Wielkopolan, prof. Filip Kaczmarek, prezes PTPN oraz dr Dariusz Grzybek, prezes zarządu Fundacji Zakłady Kórnickie. Dyskutowano o tym, co oznacza „praca organiczna”, jaki miała wpływ na poczucie wolności poznaniaków i Wielkopolan pod zaborami. Wspominano wóz Drzymały oraz mniej i bardziej znane wątki z życiorysów XIX-wiecznych organiczników. Poruszono także kwestię znaczenia zaboru pruskiego dla kształtowania świadomości Wielkopolan oraz występowania pozytywnych i negatywnych stereotypów o poznaniakach.

W panelu ORGANICZNA dyskutowali doświadczeni samorządowcy: Mariusz Wiśniewski, wiceprezydent Poznania, Patryk Jędrówiak, burmistrza Ostrzeszowa i **dr hab. Mikołaj Tomaszuk**, adiunkt WNPiD, ekspert samorządowy. Samorządowcy zastanawiali się, czy współcześnie ideały pracy organicznej przekładają się w jakiś sposób na skuteczną pracę w samorządzie oraz czy

można mówić o unikatowym etosie pracy Wielkopolanina. Rozmawiano też o jakości pracy wielkopolskich samorządów oraz wyzwaniach, przed którymi obecnie stoją.

Panel WIELKA był poświęcony przyszłości, przede wszystkim studentom i absolwentom wchodzącym na rynek pracy, ich kompetencjom i stylowi życia. Udział wzięli: prof. Bogumiła Kaniewska, Marcin Jankowski, dyrektor personalny Volkswagen Poznań oraz Anna Wawdysz z Urzędu Miasta Poznania. Paneliści zastanawiali się, czy uczelnia, taka jak UAM, dobrze przygotowuje studentów do wejścia na rynek pracy. Zwracali uwagę na różnice pomiędzy pokoleniami X, Y i Z w podejściu do pracy oraz różnicach w motywacji i sposobach rekrutacji. Uczelnia akademicka powinna kształcić ludzi twórczych i otwartych, bo tacy z pewnością znajdą pracę i się sprawdzą. W panelu wskazywano kolejny raz na praktyczność Wielkopolan zakorzenioną w tradycji pracy organicznej. Tematy tego panelu wzbudziły największą liczbę pytań i komentarzy ze strony widowni.

Debatę zakończyło wręczenie wszystkim panelistom pamiątkowych dyplomów i medali oraz zapowiedź kolejnych debat z tego cyklu.

Szymon Ossowski

Debatę można obejrzeć na Facebooku WNPiD



Spotkanie starego i nowego Gniezna

W Instytucie Kultury Europejskiej UAM odbył się wernisaż wystawy „Gnieźnieńskie retrospekcje. Gniezno wczoraj i dziś”, będący podsumowaniem projektu realizowanego od października 2021 roku przez studentki i studentów III roku komunikacji europejskiej i projektowania kultury oraz słuchaczki i słuchaczy Gnieźnieńskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

FOT. ARCHIWUM

Projekt z jednej strony odkrywał to, co już minione, z drugiej zaś otwierał się na to, co jest doświadczeniem teraźniejszości. Punktem wyjścia projektu były stare fotografie Gniezna, będące w posiadaniu uczestniczek i uczestników projektu, bowiem to fotografia zatrzymuje w kadrze i utrwala chwilę, przestrzeń, ludzi.

Na wystawie można było zobaczyć wykonane przez studentki i studentów refotografie zdjęć dawnego Gniezna, które dobrze oddają zmiany w tkance miasta na przestrzeni czasu. Wykorzystanie w projekcie tej ciekawej metody pozwoliło spotkać w jednym kadrze to, co przeszłe, z tym, co jest doświadczeniem dzisiejszego pokolenia. Prezentowane fotografie stały się impulsem do rozmowy o niegdysiejszym Gnieźnie, przywołując narracje o miejscach, które zniknęły już z mapy miasta. Przeprowadzone wywiady były kolejnym punktem wydarzenia. Uzupełniły projekt o ciekawą perspektywę, pokazując bardzo prywatny, indywidualny krajobraz historyczno-kulturowy Gniezna. Uczestnicy mogli także zapoznać się z zarejestrowaną mapą dźwiękową Gniezna, która uzupełniła projekt o sensualny wymiar jego doświadczenia.

Ostatnim punktem wernisażu było wspólne wykonanie przez uczestniczki i uczestników obrazu miasta przyszłości. Na płótnie obrazu można odnaleźć aktualne hasła nawiązujące do wydarzeń wojny w Ukrainie, nawołujące do pokoju. Projekt spotkał się z bardzo dużym zainteresowaniem. Był okazją do wymiany doświadczeń, poznania osobistych wspomnień, które w dużym stopniu budowały pełen wzruszeń i uśmiechu nastrój wernisażu.

Projekt zainicjował współpracę międzypokoleniową, która wzmocniła więzi, ucząc empatii i wzajemnego zrozumienia ponad generacyjnymi podziałami. Wszystkie prace zostaną przekazane na aukcję na rzecz rodzin z Ukrainy, która odbędzie się 3 czerwca w ramach Poznańskiego Festiwalu Nauki i Sztuki w Gnieźnie.

Projekt otrzymał dofinansowanie w ramach konkursu Kowadło 2.0 oraz został objęty honorowym patronatem prezydenta Gniezna Tomasza Budasza.

Sylvia Szykowna IKE
Danuta Wiśniewska GUTW
 Koordynatorki projektu



DYDAKTYCY Z PASJĄ

Na początku tego roku akademickiego po raz piąty najlepsi dydaktycy z UAM odebrali nagrody „Praeceptor Laureatus”. To najmłodsze wyróżnienie wśród nagród uniwersyteckich ma szczególną wartość, ponieważ jest przyznawane przez studentów.

Nauczycielom, którzy zostali wybrani po raz trzeci, przysługuje tytuł „Praeceptor Optimus”. – Praeceptor laureatus to wykładowca z pasją i energią do działania, wymagający i uczący myślenia, w pełni zaangażowany w kształcenie i budujący relacje ze studentami. Najlepszy z najlepszych – uważa prof. Joanna Wójcik, prorektorka UAM ds. studenckich.

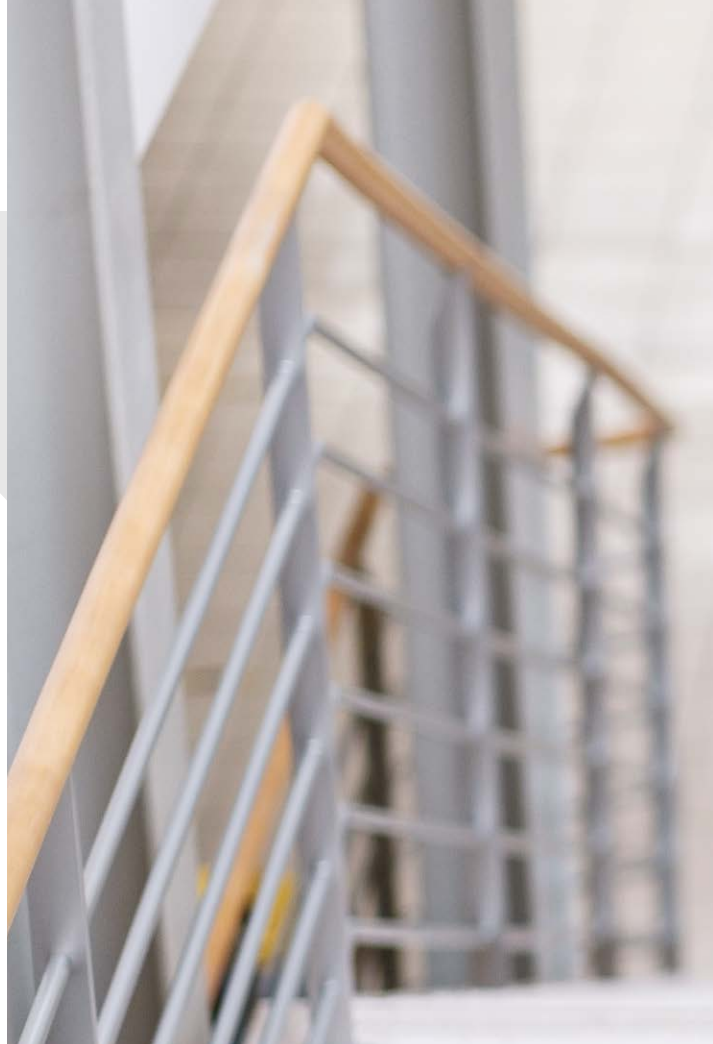
Statuetkę „Praeceptor Optimus” otrzymał dr inż. Michał Ren z Wydziału Matematyki i Informatyki.

Na str. 14-19 przedstawiamy Państwu sylwetki 12 dydaktyków, laureatów nagrody Praeceptor Laureatus 2021.

Kolejne pojawiają się w numerze wakacyjnym (lipiec-sierpień) „Życia Uniwersyteckiego”.

Laureaci nagrody „Praeceptor Laureatus” 2021:

- ▶ Bas van der Ham z Wydziału Anglistyki
- ▶ Dr Wiesław Banach z Wydziału Antropologii i Kulturoznawstwa
- ▶ Dr Jakub Niebieszczański z Wydziału Archeologii
- ▶ Dr Andrzej Zieleziński z Wydziału Biologii
- ▶ Prof. UAM dr hab. Renata Jastrząb z Wydziału Chemii
- ▶ Prof. UAM dr hab. Agnieszka Kwiatkowska z Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej
- ▶ Prof. UAM dr hab. Mikołaj Domaradzki z Wydziału Filozoficznego,
- ▶ Dr Magdalena Grajek z Wydziału Fizyki
- ▶ Dr Paweł Motek z Wydziału Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej
- ▶ Prof. dr hab. Kazimierz Ilski z Wydziału Historii
- ▶ Dr Dorota Blinkiewicz z Wydziału Matematyki i Informatyki
- ▶ Dr Tymoteusz Horbiński z Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych
- ▶ Prof. UAM dr hab. Justyna Humiecka-Jakubowska z Wydziału Nauk o Sztuce
- ▶ Dr Krzysztof Duda z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
- ▶ Dr Justyna Duch-Adamczyk z Wydziału Neofilologii
- ▶ Anna Bryłowska z Wydziału Pedagogiczno-Artystyczny w Kaliszu
- ▶ Dr Michał Krotoszyński z Wydziału Prawa i Administracji
- ▶ Dr Joanna Urbańska z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki
- ▶ Dr Marcin Hermanowski z Wydziału Socjologii
- ▶ Dr Mirosław Radoła z Wydziału Studiów Edukacyjnych
- ▶ Ks. prof. dr hab. Janusz Nawrot z Wydziału Teologicznego
- ▶ Dr Sylwia Szykowna z Instytutu Kultury Europejskiej w Gnieźnie



A JA BYM CHCIAŁ INACZEJ

Z **dr. inż. Michałem Renem** z Wydziału Matematyki i Informatyki, laureatem nagrody Praeceptor Optimus, rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

Jakie znaczenie ma dla pana tytuł Praeceptor Optimus?

Jest potwierdzeniem tego, że to, co robię, robię dobrze. Cieszę się też szczególnie, ponieważ wyróżnionych wyłaniają sami studenci.

Jak na przestrzeni lat zmieniał się pana podejście do wykładania? Jaki jest pana styl?

Myszę, że nie zmieniło się dużo. Staram się rozmawiać ze studentami jak równy z równym, co ma swoje wady i zalety. Ten styl w Polsce nie jest chyba często spotykany, a wiem to dlatego, że muszę się bardzo starać, żeby studenci rzeczywiście uwierzyli, że tego chcę – bardzo dużo wysiłku wymaga skłonienie ich do zadawania pytań w trakcie wykładu. Przyjęło się, że prowadzący wygłasza wykład jak w średniowieczu, czyli mówi, a wszyscy pilnie przepisują „z księgi do księgi”. A ja bym chciał inaczej. Z każdym nowym rocznikiem mam ten problem; muszę stosować różne sztuczki, żeby studentów zaktywizować. Z drugiej strony, gdy mówi się jak z równym, a nie z góry, ex cathedra, ma się mniej autorytetu i czasem bywa, że muszę studentów zapewniać, że nie żartuję i naprawdę jest tak, jak mówię. Nauczanie wymaga też empatii – trzeba się wczuć w to, jak myśli



drugi człowiek i spróbować tak nim pokierować, by ułatwić mu zrozumienie tematu, a im bardziej ma się opanowany materiał, tym jest to trudniejsze. Myślę, że to jest problem osób, które są mistrzami w wąskiej dziedzinie. Gdy uczą, nie zawsze robią to skutecznie w odniesieniu do konkretnych studentów, bo studenci się zmieniają. Na to zwróciłbym większą uwagę – kiedy zdawałem na studia, na informatykę na UAM dostawała się 1 osoba na 10 chętnych, a w tej chwili przyjmujemy prawie wszystkich kandydatów, więc siłą rzeczy jest trochę inny przekrój populacji, trochę inaczej się takich ludzi uczy. Trzeba się do tego dostosować.

Czy korzysta pan z najnowszych metod przekazywania wiedzy, czy stawia pan na własne wypracowane metody nauczania?

A jakie to są te nowoczesne metody? Czy coś się zmieniło? Czy homo sapiens zaczął inaczej działać? Poważnie mówiąc, chętnie wykorzystuję nowe możliwości techniczne, właśnie wróciłem z konferencji dydaktycznej dotyczącej komunikacji w matematyce, ale od lat 60. nie nastąpiła żadna rewolucja. Ostatnio byliśmy wszyscy zmuszeni do całkowitej zmiany środków podczas nauczania zdalnego, ale nie jestem fanem takich rozwiązań i uważam, że studenci na tym tracą – środki techniczne nie pozwalają jeszcze na to, żeby telekonferencje zastąpiły spotkania twarzą w twarz. Poza tym, wielu studentów miało problem z motywacją – sam fakt, że trzeba zebrać się w sobie i przyjść na zajęcia, powoduje, że zwraca się na wszystko większą uwagę. Jeśli miałbym porównywać stare, sprawdzone metody z nowymi, to wołałbym te pierwsze, z zastrzeżeniem, żeby były rzeczywiście sprawdzone. Wykład, na którym się mówi,

a wszyscy pilnie piszą, już kilka wieków temu stał się przestarzały – moglibyśmy od tego odejść, ale nie od wykładu jako takiego.

Mam takie wrażenie, że w czasach, kiedy ja się uczyłam, zajęcia były mniej ciekawe niż teraz. Chyba też częściej zdarza się obecnie bardziej partnerskie traktowanie studentów?

Bardzo mi zależy na tym, żeby studenci postrzegali mnie jako pomocnika w zdobywaniu wiedzy, a nie przeszkodę na tej ścieżce. Chociaż występuję w roli oceniającego, a więc w pewnym sensie w opozycji, to jednak chciałbym, żeby studenci widzieli, że przeszkody mamy pokonywać wspólnie. Moim zdaniem to jest niezbędne w procesie edukacji.

Jakie są najważniejsze wyzwania, z którymi musi pan sobie poradzić jako wykładowca?

Trudno powiedzieć, co jest najważniejsze. Nawiązanie kontaktu z grupą jest w istocie tym, na czym polega praca wykładowcy, ale o tym już mówiliśmy. Cała reszta to jest przygotowanie merytoryczne treści, które będzie się przekazywało i to jest pewnego rodzaju wyzwanie. Innym wyzwaniem było też wprowadzenie nowych przedmiotów do oferty edukacyjnej wydziału, bo wymagało bardzo dużo pracy. Teraz jest mi nieco łatwiej, ale prowadzę przedmioty z dziedziny, która się bardzo szybko zmienia. Śmieję się, że na egzaminie z przedmiotu, na którym poruszamy kwestie e-gospodarki (zaczynamy od bardzo dawnych rozwiązań i dochodzimy do kryptowalut, NFT) nie muszę zmieniać pytań, bo to odpowiedzi ciągle się zmieniają – jak u ekonomistów.



ZACZĘŁO SIĘ OD PUSTEJ KLASY

Z **Anną Bryłowską** z Wydziału Pedagogiczno-Artystycznego rozmawia Krzysztof Smura.



Bardzo chciała być pani dydaktykiem?

Zawsze. Odkąd pamiętam przygotowywałam się do zawodu. Po prostu od dzieciństwa niemal każdego dnia bawiłam się w szkołę. Może to zabrzmieć banalnie, ale ja to kocham. Już jako kilkuletnia dziewczynka miałam dziennik w domu. Często wracałam ze szkoły do domu na czubkach palców, udając, że idę na szpilkach i skłaniałam głowę na prawo i lewo odpowiadając „dzień dobry” na niewypowiedziane pozdrowienia wymaganych uczniów. A w domu kontynuowałam zabawę. Robiłam sprawdziany, uczyłam brata i siostrę, a jak ich nie było, to pusty pokój, który w wyobraźni wypełniałam uczniami. Brak mi słów, żeby określić, jak bardzo kocham uczyć.

W jaki sposób stara się pani przekonać do siebie studentów?

Moja relacja ze studentami jest w pewnym sensie intymna i trudno mi o niej mówić. Bardzo ważne jest, by każdego ucznia poznać od wewnątrz, wnikać w niego i być mu przyjacielem. Na nowych zajęciach proszę studentów by ustawili przed sobą wizytówki. Chcę poznać ich imiona. I zapamiętać. Bywa, że na zajęciach jestem trochę klaunem. Nie traktuję ich ex cathedra. Pokazuję, że jestem osobą, która nie jest nieomylna. Uwielbiam to, czego uczę, ale

przede wszystkim praktyczną gramatykę i wymowę. Zdaję sobie sprawę, że Teamsy i automatyzacja nauczania są wyzwaniem dla współczesnego dydaktyka, ale ja cenię sobie i cenić będę bezpośredni kontakt ze studentem. Staram się być z nimi, bo wiem, że zestresowani i traktowani z góry niczego się nie nauczą.

A pani bywa zestresowana?

Tak. To jednak pozytywny stres. Zawsze staram się być przygotowana do zajęć. Poświęcam temu naprawdę sporo czasu.

Jakiś sposób na trudnych studentów?

Są i tacy. Sposób? Prawdziwa rozmowa w cztery oczy. Nie zza biurka, ale siadając obok ucznia, staram się zaradzić problemowi i przekonać, że naprawdę warto przyłożyć się do nauki. Podaję przykłady ze swojej dydaktycznej historii.

Dlaczego została pani dydaktykiem? Tradycja rodzinna?

Faktem jest, że mama jest/była nauczycielem. Uczyła biologii, ale nie bardzo lubiła to zajęcie i po dziesięciu latach zrezygnowała. O mnie zawsze mówiła, że jestem inna niż ona. Że ja mam pasję.

WYZBYĆ SIĘ IDEOLOGICZNEGO ZAŚLEPIENIA

Z **dr. Wiesławem Banachem** z Wydziału Antropologii i Kulturoznawstwa rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

Co pan lubi, a czego nie lubi w pracy ze studentami?

Dla dydaktyka kwintesencją pracy na uczelni jest prowadzenie zajęć. Z jednej strony muszą być one interesujące, z drugiej – nie mogą opierać się na efekciarstwie. Sztuczność z tym związaną młodzież wyczuwa od razu. Jeśli chodzi o wykłady, to najbardziej lubię proces przygotowywania się do nich. Jak sprawić, aby często skomplikowane zagadnienia przekazać w przystępnej, atrakcyjnej i zrozumiałej formie, a przy tym skłonić słuchacza do zastanowienia się nad nimi i rozbudzić potrzebę samodzielnego ich studiowania? Podczas konwersatoriów, ćwiczeń, laboratoriów i seminariów najbardziej cenię sobie szczerą i otwartą wymianę zdań. Jej warunkiem jest jednak brak, często dziś spotykanej, autocenzury, która uniemożliwia swobodę wypowiedzi. Trudno mi wskazać coś, czego jakoś specjalnie nie lubię w pracy ze studentami. Jedyne, co mógłbym tu wskazać, to brak wśród nich poczucia humoru. Prowadzę zajęcia od 26 lat i widzę, że z posiadaniem dystansu do siebie i otaczającej rzeczywistości jest wśród młodych ludzi, niestety, coraz gorzej.



Jakie wartości chce pan przekazać studentom?

Z mojego doświadczenia pracy ze studentami jasno wynika, że wszelkie próby narzucania im jakichś wartości, czy też nakłaniania do czegoś wywołują efekt odwrotny do zamierzonego. Dlatego, odwołując się do średniowiecznego rozumienia uniwersytetu jako „wolnego rynku idei”, staram się podczas zajęć stworzyć takie warunki, pokazać takie argumenty i racje, czy też postawić kwestie do dyskusji w taki sposób, aby studenci autentycznie zainteresowali się danym zagadnieniem i sami doszli do jakichś konkluzji oraz wyrobili sobie własne zdanie. Możliwe to jest w oparciu o poszanowanie takich wartości, jak swoboda wypowiedzi, odwoływanie się do argumentów racjonalnych, unikanie stereotypów, uprzedzeń, czy powielania nabytych w szkole średniej i Internecie kalek myślowych, a także wyzbycie się ideologicznego zaślepienia, które niestety stanowi coraz bardziej powszechną cechę, zwłaszcza wśród studentów kierunków humanistycznych. Dlatego przekonuję ich, że nie należy ulegać wpływom otoczenia i starać się jednak mieć własne zdanie w danej sprawie. Nawet jeżeli jest ono niepopularne i idące pod prąd obowiązujących trendów czy mód.



UWOLNIĆ SŁONIA

Z **dr. Mirosławem Radołą** z Wydziału Studiów Edukacyjnych rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

Jaka jest pana metoda na dobrą komunikację ze studentami?

Tak naprawdę, to wierność pewnej idei, którą zaszczerpił we mnie prof. Ryszard Łukaszewicz, którego miałem przyjemność poznać na studiach. Na jednym z wykładów powiedział, abyśmy pamiętali o jednej rzeczy: idąc na lekcję, mamy nie tylko przekazywać uczniom wiedzę, ale również „uwolnić słonia”. Na początku nie wiedzieliśmy, o co tak naprawdę chodzi? Dopiero w trakcie trwania zajęć zrozumieliśmy tę metaforę. Pan profesor mówił wprost: oprócz nauki, sprawcie, aby dzieci były radosne, otwarte oraz spontaniczne. Przywróćcie edukacji urok i przygodę. To była jedna z ważniejszych moich lekcji jako przyszłego nauczyciela. I do dziś nic się nie zmieniło. Jako wy-

kładowca staram się moich studentów obdarowywać życzliwością, szacunkiem i dzielić się z nimi nie tylko wiedzą, ale radością i uśmiechem. Wspierać, pomagać i utwierdzać w przekonaniu, że potrafią i mogą osiągnąć to, czego pragną, a zdobywanie wiedzy może być po prostu urokliwe.

Być dobrym wykładowcą - czy to kwestia talentu, czy praktyki?

Sądzę, że praktyki i pracy nad sobą. To „pedagogiczne laboratorium”. Poszukiwania, próby, błędy i doświadczenia, które trwają przez całe życie. To refleksja nad swoim warsztatem pracy, duże pokłady pokory i przede wszystkim permanentna nauka słuchania swoich studentów.

TO SĄ NASI MŁODSI PRZYJACIELE

Z **prof. Kazimierzem Ilskim** z Wydziału Historii rozmawia Magda Ziółek.

Jaki jest pana przepis na sukces?

Muszę przyznać, że z nie byle jaką satysfakcją zerkam niemal codziennie na statuetkę Adama Mickiewicza i jej osobiste powiązanie ze mną przez inskrypcję *Praeceptor Laureatus*. Przynosi to, co prawda, uczucie, że to sprawa dokonana, laur przyznany - w ostatnim porcie. Kiedy jednak myślę o kolejnym dniu i czekających mnie wykładach, ćwiczeniach, warsztatach i - z największą rozkoszą - seminariach, to nieskromnie marzę, że jeszcze ktoś odezwie się do mnie; pokazując palcem - *praeceptor disertissimus* - tak, jak to bywało w starożytności między retorami i ich uczniami, którzy po kolei stawali się przyjaciółmi. Stawali się równi, gdyż dzielili te same wartości, czcili bogów, kochali ojczyznę i dla Res publica, jako wspólnoty politycznej, sumiennie wykonywali swe zadania. Tak sobie wyobrażam źródło sukcesu.

Co sprawia, że studenci lubią pana zajęcia?

To pytanie trzeba postawić studentom. Sam bym chętnie się dowiedział. Może - zaryzykowałbym odpowiedź - ja nie nabieram studentów, nie nakładam maski ani tragicznej, ani komicznej, jestem sobą, nie schlebiam studentom, nie zmniejszam ich obowiązków, cieszę się ich sukcesami, martwię się upadkami. Wpisanie dwóji mnie boli, a jednak to robię. Nie wychodzę pierwszy z sali wykładowej. Ponieważ tak jest, to niekiedy najbardziej nieśmiała osoba wychodzi ze mną i mamy sobie coś ważnego do powiedzenia.

Rozmawiamy o relacji między wykładowcą i studentami, która z natury jest dwustronna. Z jakimi studentami pracuje się panu najlepiej, najowocniej?

Uczciwa odpowiedź jest jedna: z sumiennymi, inteligentnymi, nowatorskimi, trochę aroganckimi w sposobie stawiania pytań - ale nie w obejściu w stosunku do innych. Tak jest, ale wychodzę z założenia, że każdy może się takim stać, nawet jeśli ma szkolne braki i środowiskowy brak oglądy. Ma szansę wejść do intelektualnej elity i odczuwać z tego tytułu radość i satysfakcję.

Jakie osobowości powinny znaleźć się w grupie, aby zajęcia sprawiły panu przyjemność?

Uwodzicielskie! Takie, które nie tają swego zdziwienia. Wykrzykują; ach, to o to chodziło, tak to należy rozumieć! Grupy się różnią. Wielkie znaczenie ma to, kto wypracuje wśród kolegów większy autorytet. Zwykle ta społeczna relacja rozwija się we właściwym kierunku. Niekiedy jednak mizéria i taniocza zwycięża; brak chęci poznania i brak chęci pilnego czytania, tak jakby Internet mógł załatwić wszystko. Jedno dla mnie jest pewne, studenci są różni i nie należy ich za wszelką cenę ujednolicać. Mogą - wręcz powinni - czytać różne lektury i mają prawo postawić akcenty na upatrzone kwestie, nawet gdyby inne tematy opracowali słabiej. Trzeba dać im szansę, aby udowodnili swą oryginalność. Szansą jest zawsze niespieszny egzamin ustny. Śmiercią jest test wyboru, działający jak gilotyna i walec.

Cała rozmowa na www.uniwersyteckie.pl



SAMOTNOŚĆ W SIECI

Bas van der Ham z Wydziału Anglistyki.

Z jakimi wyzwaniami spotkał się pan jako dydaktyk?

Czas pandemii i zajęć zdalnych był trudny dla wielu studentów. Mieli problemy z motywacją, było im trudniej się skupić podczas całego dnia przed ekranem. Studenci I roku, którzy zaczęli studia w trybie zdalnym, w szczególności walczyli z samotnością. Próbowałem integrować grupy, żeby studenci dobrze się poznali i żeby czuli się częścią grupy, na której wsparcie mogliby liczyć. Robiliśmy także dużo ćwiczeń, które wymagały interakcji, jak praca w małych grupach (w tzw. breakout rooms), a przy ćwiczeniach pisemnych studenci musieli zareagować na teksty innych studentów. Używanie kamerek jest, moim zdaniem, bardzo ważne podczas mówienia na zajęciach zdalnych. Na początku może to być stresujące dla studentów, ale na dłuższą metę to brak widoku innych studentów może być o wiele bardziej stresujący – nie widzimy ich reakcji niewerbalnych, nie wiemy, kto w tym momencie mówi.

Organizowałem również dodatkowe zajęcia konwersacyjne dla osób chętnych, podczas których studenci mogli po niderlandzku

rozmawiać o życiu codziennym lub, jeśli nie mieli inspiracji, mogli korzystać z pytań z konwersacji i rozmawiać np. o hobby, pandemii, filmach, książkach itp.

Dobra integracja w grupie jest bardzo ważna. W ramach naszego projektu TELL (wsparcie dla studentów dot. skutecznych metod uczenia się) rozmawiałem z wieloma studentami I roku na różnych kierunkach, którzy nie poznali prawie nikogo ze swojego roku. Nie mogli z nikim porozmawiać, np. o wątpliwościach dotyczących zadań („Mam 1500 słów, czy myślisz, że to wystarczy?”). Nie wiedzieli, kogo prosić o notatki, jeśli byli nieobecni, nie mieli żadnego kolegi ani koleżanki, z którym/którą mogliby porozmawiać, doświadczając kryzysu motywacji. A jeśli podczas zajęć tylko dwójka lub trójka najlepszych studentów odpowiada na pytania wykładowcy, a reszta jest niewidoczna, to inni studenci często mają błędne wrażenie, że ich poziom jest daleko poniżej normy. I właśnie to powodowało u nich dużo stresu i lęku.



PANDEMICZNY POCZĄTEK

Dr Jakub Niebieszczański z Wydziału Archeologii.

Jakie były pana początki jako dydaktyka? Co było dla pana najbardziej stresujące i jak sobie pan poradził?

Jak dziś stara się pan zainteresować studentów?

Moje początki pracy dydaktycznej zbiegły się niefortunnie z początkiem pandemii. Po krótkim okresie normalnego trybu nauczania wszyscy znaleźliśmy się w trudnej sytuacji wymagającej przedstawienia się na cyfrowe sposoby przekazywania wiedzy. Mam tu na myśli zarówno studentów, jak i dydaktyków – dla wszystkich był to pewnego rodzaju test radzenia sobie w kryzysowych warunkach, ale uważam, że była to również szansa, z której większość z nas skorzystała. Jedną z największych trudności, z jaką spotkałem się podczas prowadzonych przeze mnie zajęć, była utrudniona relacja personalna ze słuchaczami. W normalnym trybie zawsze staram się przekazywać wiedzę w sposób prosty, obserwując równocześnie czy to, o czym mówię, jest rozumiane. Odcięcie kontaktu bezpośredniego spowodowało, że studenci byli niejako odcięci od pomocy, jaką w normalnych warunkach łatwiej jest uzyskać od prowadzącego. Rozwiązaniem okazały się chyba skrypty do zajęć praktycznych – krok po kroku prowadzące studenta poprzez rozwiązywane zadania, ale także



możliwość kontaktu poprzez różne media – czat na Teams, Skype, Messenger itd.

Dużą trudność stanowiło również łącze internetowe, które w przypadku bardzo szybkiego mówienia nie nadążało za potokiem słów. Trzeba było się do tego dostosować i w rezultacie można powiedzieć, że przez pandemię nauczyłem się zwalniać i regulować tempo wypowiedzi. Ma to pozytywne skutki, np. w lepszym zrozumieniu przekazywanych treści przez słuchaczy, ale najprawdopodobniej także jest zbawienne dla moich strun głosowych!

Dzisiaj, kiedy wróciliśmy do normalnego trybu nauczania, uważam, że najlepszym sposobem zainteresowania studentów zajęciami jest wprowadzanie do nich elementów badawczych. To działa pozytywnie na słuchaczy, którzy widzą realne zastosowania rozwiązań jakiegoś problemu badawczego lub na przykład mogą sami przeprowadzić analizę, dzięki której wytwarzana jest nowa wiedza. W archeologii ma to szczególne znaczenie, kiedy podczas zajęć można zetknąć się z materiałem, jego analizą lub interpretacją. Uważam, że tylko wtedy będziemy szkolić świetnych specjalistów, gdy będziemy włączali studentów w swoje badania i implementowali je w proces dydaktyczny.



CIERPLIWOŚĆ PRZED W SZYSTKIM

Dr Paweł Motek z Wydziału Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej.

Jakie są cechy i umiejętności dobrego nauczyciela akademickiego? Co dodaje panu energii w pracy dydaktyka, a co utrudnia tę pracę?

Dla każdego nauczyciela akademickiego, czy też studenta będą to pewnie inne cechy oraz umiejętności. Ważne jest, aby nauczyciel potrafił zainteresować studenta danym tematem, pokazać, że zdobywanie wiedzy może być niezwykle pasjonujące. Nauczyciel powinien mieć czas dla studentów - na rozmowę, odpisanie na e-mail, wyjaśnienie wątpliwości dotyczących prac zaliczeniowych oraz prowadzonych zajęć. Dobry dydaktyk powinien więc być również cierpliwy. Postęp naukowy, nowe metody dydaktyczne, zmieniające się społeczeństwo oraz rynek pracy powodują, że oczekiwania i możliwości studentów również się zmieniają.

Dlatego też nauczyciel akademicki powinien doskonalić swój warsztat dydaktyczny. Prowadząc zajęcia nie zawsze wszystko wychodzi tak, jakbyśmy tego oczekiwali, popełniamy błędy, stosujemy niewłaściwe metody, nie wszystko potrafimy dobrze wytłumaczyć. Dobry nauczyciel powinien więc również uczyć się na własnych



błędach. Najwięcej energii dają mi rozmowy lub e-maile od studentów i absolwentów z informacjami, że wiedza i umiejętności zdobyte na zajęciach pomogły im w uzyskaniu, a potem wykonywaniu pracy zawodowej. Studenci chcą wiedzieć więcej, w trakcie zajęć zadają różne pytania i w ten sposób motywują mnie do poszukiwania odpowiedzi. Motywacją do stałego doskonalenia warsztatu dydaktycznego są również nagrody Praeceptor Laureatus, które otrzymałem w ubiegłych latach.

Co utrudnia pracę dydaktyka? W okresie pandemii COVID-19 wykłady były w formie online, przez co interakcja ze studentami była utrudniona. Nie widziałem, jak studenci reagują na poszczególne zagadnienia, nie zawsze mówili, czy wszystko jest zrozumiałe, a to powodowało, że niektóre trudniejsze zagadnienia mogłem niezbyt precyzyjnie i dobrze wyjaśnić. Kolejne utrudnienia dotyczą stale rosnącej biurokratyzacji procesu dydaktycznego oraz pogoni za punktami, a co się z tym wiąże, w przypadku pracowników naukowo-dydaktycznych, preferowaniu działalności naukowej przed dydaktyczną.

RECEPTA NA UDANE ZAJĘCIA

Dr Michał Krotoszyński z Wydziału Prawa i Administracji UAM.

Myszę, że na udane zajęcia składa się wiele czynników. Część ma charakter systemowy – jak odpowiednia liczebność grup czy brak nadmiernego obciążenia dydaktycznego i pozadydaktycznego – skupię się więc tylko na czynnikach zależnych od nauczycieli akademickich.

Podstawą musi być oczywiście przygotowanie merytoryczne, które obejmuje nie tylko wiedzę, ale i plan, jakimi metodami ją przekazać. Równie ważne jest jednak, moim zdaniem, zbudowanie na zajęciach bezpiecznej atmosfery, w której studenci nie będą bali się zadawać pytań i przyznać do niewiedzy: potrzeba więc dużo wzajemnego szacunku, a także trochę wyrozumiałości i poczucia humoru. Stąd ja osobiście preferuję metody bazujące na nagrodach, bardziej niż przymus oparty np. na regularnych wejściówkach – zdaję sobie jednak sprawę, że takie podejście jest też możliwe ze względu na specyfikę nauczanych przeze mnie przedmiotów.

Nie oznacza to oczywiście, że kolokwium czy egzamin muszą być łatwe: wydaje mi się, że studenci nie mają nic przeciwko trudnym



zaliczeniom, o ile tylko wymagania są jasno określone.

Na kierunkach, przygotowujących do określonych zawodów, ważne jest też, by studenci wiedzieli, jaki jest cel poszczególnych zajęć: do czego przekazywana im wiedza będzie przydatna i kiedy użyją danych umiejętności. Staram się więc wplatać w zajęcia przykłady z mojej praktyki zawodowej – jestem radcą prawnym – by już od pierwszego roku studenci widzieli, że dzięki określonym narzędziom są w stanie

rozwiązywać faktycznie pojawiające się problemy. I wreszcie ostatnim elementem jest dbanie o aktywizację studentów: trudno tu o niezwodną receptę, ale moje skromne doświadczenie podpowiada mi, że aby była ona możliwa, to właśnie wykładowca musi być na sali osobą najbardziej zainteresowaną przedmiotem. Nie zawsze da się oczywiście taki entuzjazm naprawdę odczuwać: gdy w ciągu dwóch dni mówimy siódmy raz to samo. Przydają się więc także choćby minimalne zdolności aktorskie.



KAŻDA GRUPA JEST WYJĄTKOWA

Dr Tymoteusz Horbiński z Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych.

Czym dla pana jest praca dydaktyka?

Obecnie jest to dla mnie na pewno wyzwanie. Z racji krótkiego stażu pracy w tym zawodzie (cztery lata doktoratu plus półtora roku pracy) nadal uczę się być nauczycielem akademickim. Wyzwanie to w głównej mierze opiera się na sztuce adaptacji i doskonalenia. Adaptować należy się do kolejnych grup studentów, jak i do prowadzonych zajęć. Mam to szczęście, że prowadzę zajęcia dydaktyczne zbieżne z moją pracą naukową. Dzięki takiemu połączeniu możliwe jest nie tylko doskonalenie się naukowo, lecz także dydaktycznie. Bazowanie w pracy dydaktycznej



na własnych badaniach lub dobrej znajomości badań innych naukowców utwierdza studenta w przekonaniu, że prowadzący „wie, o czym mówi”.

Niewątpliwie do pozytywnych stron tego zawodu można zaliczyć inspirujący kontakt z studentami. Każda grupa zajęciowa jest wyjątkowa, co urozmaica pracę nauczyciela akademickiego. Natomiast jeżeli chodzi o wady, to nie przywiązuję do nich szczególnej uwagi. Oczywiście, można byłoby doszukiwać się negatywnych stron tego zawodu, ale moim zdaniem lepiej po prostu czerpać z niego radość.

W HUMANISTYCE CHODZI O LOGICZNY WYWÓD

Z prof. Justyną Humięcką-Jakubowską z Wydziału Nauk o Sztuce rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

Jaka jest pani metoda na dobrą komunikację ze studentami?

Rozumiem „metodę” jako sposób świadomego postępowania zastosowany w określony sposób do określonego celu. Jednak jeśli tak rozumiana „metoda” ma służyć „dobrej komunikacji”, to już wkraczamy w zagadnienie bardzo złożone. Dydaktyka zakłada komunikację z drugim człowiekiem, który oczekuje ode mnie, że przekażę mu, podzielę się z nim jakąś częścią swojej wiedzy, ale także wykształcę w nim jakieś konkretne umiejętności. Mam zawsze świadomość, że w realizacji tych oczekiwań muszę uwzględnić fakt, że grupa studentów nie jest jednorodna co do kompetencji, jakie mają, rozpoczynając swoją „przygodę z muzykologią”. Poza tym muszę uwzględnić ich i mój udział w realizacji określonej formy zajęć – np. wykład versus konwersatorium czy ćwiczenia. Także aspekt merytoryczny przedmiotu warunkuje mój sposób postępowania. Bardziej hermetyczna dla humanistów jest akustyka muzyczna niż historia muzyki. Spełniając więc – nazwę to – „warunki brzegowe”, a więc zachowując określoną formę zajęć, np. wykład, staram się zróżnicować środki przekazywania wiedzy i kształcenia umiejętności. Są to prezentacje multimedialne, komentarze do trudniejszych percepcyjnie zagadnień, zwracanie uwagi na przyczynowość i konsekwencje faktów i zjawisk, o których mówię. Być może zbyt często powtarzam, że zależy mi, aby moi studenci rozumieli to, o czym ja mówię i o czym oni będą mówić,



a także aby nie przyswajali wiedzy pamięciowo, bo pamięć jest zawodna. Staram się pomóc im w tym zrozumieniu. Obserwuję reakcje moich studentów i staram się wyciągać wnioski dla swojej pracy dydaktycznej, a więc nieustannie modyfikować swoje postępowanie.

Jakie są wady i zalety pracy dydaktycznej?

Nabieram energii do pracy w kolejnych latach akademickich, kiedy widzę, że studenci wiedzą i umieją dużo więcej i z każdym rokiem stają się coraz bardziej kompetentni, kiedy obserwuję, jak z sukcesem dla siebie samych pokonują swoje ograniczenia. Energię natomiast odbiera mi świadomość, że tak wielu się poddaje i rezygnuje ze studiów. Poznawanie muzyki i możliwości jej badania w różnych kontekstach wymaga bardzo wielu kompetencji, które często są trudne do uzyskania. Niestety, barierą staje się choćby opanowanie czytania partytur czy zrozumienie, że szeroko definiowany dźwięk jako budulec muzyki ma naturę fizyczną, a to wymaga opanowania podstaw o proveniencji matematyczno-fizycznej. W humanistyce nie chodzi o „słowotok”, tylko o logiczny wywód, a w muzykologii nie wystarczy słuchać różnej muzyki, trzeba umieć o niej rozmawiać w szerokim, interdyscyplinarnym kontekście. Każda studentka i każdy student, którzy to rozumieją, są dla mnie potencjalnym źródłem energii do mojej dalszej pracy.



CAŁY CZAS SIĘ ROZWIJAM

Z **dr. Joanną Urbańską** z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

Co to znaczy dla pani być nauczycielem akademickim?

Bycie nauczycielem akademickim to podjęcie wyzwania, polegającego na efektywnym podzieleniu mojego czasu i aktywności w pracy na kilka obszarów: badawczy, dydaktyczny, organizacyjny i działalności dla środowiska pozauczelnianego. Czasem ta aktywność związana jest z tematem, który przenika do wszystkich obszarów, jak na przykład tematyka psychoterapii i psychometrii, czy w ostatnich latach sprawy związane z doświadczaniem przez ludzi pandemii. Jeśli chodzi o dydaktykę, to dla mnie bycie nauczycielem akademickim oznacza dzielenie się wiedzą, umiejętnościami i kompetencjami społecznymi w taki sposób, żeby dla mnie i dla studiujących było to dobre doświadczenie. Zakładałam, że jeśli są zmotywowani, to z moją pomocą mogą się rozwijać, a nie tylko realizować sylabus. Jest jeszcze ważna rzecz, którą trudno mi ująć słowami – wejście w relację ze studiującymi na czas zajęć, czy działalności w kole naukowym, to zawarcie pewnego kontraktu. Zakładałam w nim, że będzie to czas, kiedy jestem zaangażowana, jestem sobą, szanuję osoby studiujące i jestem empatyczna oraz ciekawiona. Tego samego oczekuję od drugiej strony. Nie muszę mówić o tym na zajęciach, najczęściej rozumiemy się.



Co pani ceni w dydaktyce, a co sprawia trudność?

Cały czas się rozwijam. Mogę sama planować pracę. Mogę być twórcza i realizować swoje pomysły. Wartością dodaną jest ciągły kontakt z ludźmi, którzy mają różne zainteresowania, zdolności, odmienne zdanie, historię życia, ale też i trudności. Dużą radość sprawia mi pomaganie studiującym w przełamywaniu trudności w procesie studiowania i obserwowanie, jak się rozwijają. Negatywne aspekty są związane z moimi trudnościami, a nie z obiektywnymi cechami tego zawodu. Czasem angażuję się bardziej w obszary, które przynoszą od razu radość czy satysfakcję (np. dydaktykę), kosztem innych, które wymagają oczekiwania na efekty (np. pisanie artykułu, wniosku grantowego). Czuję zniechęcenie, gdy widzę, że ktoś nie jest zmotywowany do studiowania tak, jak ja do nauczania, gdy większe zaangażowanie jest po mojej stronie. Ten zawód wymaga stawiania granic, przede wszystkim sobie, ale też i innym. W pokonywaniu trudności pomaga mi pewna zasada: nie skupianie się przesadnie na sobie (swoim lęku, stresie czy niewiedzy), nie skupianie się przesadnie na wiedzy („przekazać jak najwięcej”) ale skoncentrowanie się na tym, co i do kogo mówię. Dostosowuję sposób prowadzenia zajęć do grupy, z którą pracuję.

UCZENIE DLA ŻYCIA

Z **ks. prof. Januszem Nawrotem** z Wydziału Teologicznego rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

Co jest dla księdza profesora najważniejsze w pracy dydaktycznej?

To, co najważniejsze, wynika ze specyfiki przedmiotu, który wykładam – teologii, a dokładnie biblistyki, a w niej egzegezy Starego Testamentu. Na naszym wydziale łączymy płaszczyzny, które w innych dyscyplinach naukowych mogą być rozdzielone, a więc naukę z wiarą – dla nas to jest jedność. Celem tego, co wykładam, nie jest tylko nauczanie, ale przede wszystkim umiejętność łączenia wiedzy z życiem, na które powinna mieć ona decydujący wpływ. Znakomita większość studentów jest wierząca, dlatego główny kierunek uczenia polega na dążeniu do tego, żeby wiedza służyła życiu, które byłoby zgodne z wyznawaną wiarą. Druga ważna kwestia wynika z faktu samej wiary: mamy do czynienia z Biblią jako żywym słowem Boga, a nie tylko materiałem badawczym. Priorytetem nie jest zdanie egzaminu, owszem egzaminy muszą być, ale o wiele ważniejsze jest, przynajmniej dla mnie, żeby studenci zaczęli zdawać egzamin życiowy. Uczenie pod kątem jakości życia jest dla nas, teologów, niezwykle ważne.



Co sprawiło, że tak wielu studentów i studentek na księdza profesora jako najlepszego dydaktyka głosowało?

Co jest źródłem sukcesu?

Musiałyby pani ich zapytać! Powiem, jak wykładam – przygotowuję zawsze prezentacje multimedialne z głównymi myślami wykładu, rozwijane następnie w wypowiedzeniach lub dyskusji, co bardzo pomaga w przyswojeniu ich przez słuchaczy. Dzięki prezentacjom jakość moich wykładów podniosła się. Daję studentom prawo do zadawania pytań. Wspólnie w dyskusję włączamy problemy, którymi żyją. Przykładowo dzisiaj na jednym z wykładów z IV rokiem dyskutowaliśmy na temat kontrowersyjny w Kościele, ale i na świecie – o wojnie sprawiedliwej. Studentom podoba się, że nie pędzę z materiałem, lecz wspólnie – o ile to konieczne – próbujemy umiejscowić go w realiach życiowych. Jednocześnie staram się pilnować czasu, bo studenci są studentami i odkąd jestem belfrem, staram się nie przedłużać dyskusji, które mogłyby rozwijać się kosztem czasu potrzebnego na wykład.



Nie dla mnie elficki

Z prof. Tomaszem Wicherkiewiczem, językoznawcą z Wydziału Neofilologii, rozmawia Magda Ziółek.

FOT. ADRIAN WYKROTA

Podobno na zajęciach studenci często pytają, dlaczego nie opracował pan naukowo języków wymyślonych przez J.R.R. Tolkiena. Czy elficki nigdy pana nie interesował?

Szkoda mi na to czasu. Na świecie jest około siedmiu tysięcy języków, które mają swoją niepowtarzalną strukturę, swoją kulturę, swój własny świat. One są realne, przez co dla mnie bardziej interesujące niż języki sztuczne. Oczywiście nie oceniam; zgłębianie elfickiego też może być przyjemną rozrywką intelektualną. Niemniej jednak, w moim przypadku, nie umiem w to zainwestować ani serca, ani rozumu.

Wspomniał pan o językach świata. A jak to wygląda w Polsce?

Na terenach Rzeczypospolitej mówiono około 40 różnymi językami. Obecnie szacuje się, że jest ich 14 plus dodatkowo polski jako oficjalny, państwowy język narodowy. Z tym, że nawet ta lista, która obowiązuje prawnie (na mocy ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym z 2005 r.), z punktu widzenia rzeczywistości językowej nie jest idealna, ponieważ znajdują się tam odmiany, które od wielu pokoleń nie mają statusu języków żywych np. język tatarski.

???

Tatarzy Rzeczypospolitej nie posługują się językiem tatarskim od około 300 lat. Owszem, potem mówili językiem ciekawym, białorusko-polskiego pogranicza, zapisywanym okazjonalnie pismem arabskim... Fenomen językowy sam w sobie interesujący,

ale nawet nie posiadający swojej nazwy. Możemy go potocznie nazwać tatarskim, ponieważ posługiwali się nim Tatarzy, ale to nie ten język chroni ustawa. Ustawa chroni język, którego nie ma. Z drugiej strony nie chroni języków, z którymi współcześnie jak najbardziej identyfikują się setki tysięcy użytkowników – oczywiście myślę tu o śląskim, ale też i niewielkim – jeśli patrzeć na liczbę użytkowników – ale bardzo intensywnie rewitalizowanym języku wilamowskim z Wilamowic.

Za zasługi związane z rewitalizacją wilamowskiego w 2015 został pan honorowym obywatelem gminy Wilamowice.

Wilamowszczyznę zacząłem zajmować się jeszcze w ubiegłym stuleciu. Wówczas byłem przekonany, że mam do czynienia z językiem i społecznością, które odchodzą w niebyt. Wydawało mi się, że w miarę możliwości pomogłem w opisanu, i częściowo udokumentowaniu tego, co jeszcze było do ocalenia; a potem popełniłem błąd, którego już nigdy nie zrobię, a mianowicie publicznie zacząłem dzielić się wątpliwościami co do żywotności wilamowskiego – co gorsza, wieszcząc jego bliski koniec.

Wówczas nie przypuszczałem, że wydarzy się coś nieprawdopodobnego, biorąc pod uwagę statystykę demografii socjolingwistycznej. Zwykle uważamy, że najbardziej krytycznym momentem, który decyduje o naruszeniu żywotności języka, jest przerwanie przekazu międzypokoleniowego. Wiele języków w ten sposób rozpoczęło swoje odchodzenie. W wilamowskim wydarzyło się jednak coś niespodzianego. Mianowicie, zanim odeszli ostatni użytkownicy tego języka, pojawił się jeden młody człowiek: w połowie lat 90. urodził się Tymoteusz Król, który wilamowskiego nauczył się nie od rodziców, ale od swojej niani. Tym samym stał się niezbędnym ogniwem łączącym ostatnich użytkowników żywej wilamowszczyzny z jego nowymi użytkownikami – „neomówcami”. Tymoteusz wyrósł na świetnego warsztatowo i intuicyjnie rewitalizatora swojego języka oraz sam stał się zarzewiem jego odrodzenia. A zatem stał się cud: z języka który zniknął, odchodził, wilamowski stał się – językiem żywym: wciąż zagrożonym i małym, ale jednak z nadzieją na trwanie.

W jednym z wywiadów powiedział pan, że nie da się uratować języka, nie angażując społeczności lokalnej.

Teraz sformułowałbym to jeszcze bardziej radykalnie. Nie należy nawet próbować ożywiać języka, jeżeli nie ma takiego oczekiwania ze strony społeczności. Owszem, można bawić się w rekonstruowanie języków, ale wówczas będzie to bardziej przypominało tworzenie sztucznych języków, jak np. esperanto. Im jestem starszy, tym silniej podkreślam konieczność respektowania wszelkich powiązań języka ze społecznością jego użytkowników, jego unikalną strukturą i kulturą, jako że język naturalny nigdy nie jest autonomicznym systemem.

Językoznawczyni prof. Justyna Olko powiedziała: „języki, które umierają, najczęściej uważane są albo za źródło cierpienia i prześladowań, albo po prostu za nieprzydatne, bez wartości ekonomicznej we współczesnym świecie”.

Zarówno w Europie, jak i w świecie, mniejsze języki używane są na ogół na peryferiach; tam, w mniejszych społecznościach, dzieją się procesy odmienne od tych w centrach. Ma to określone skutki ekonomiczne i społeczne, zwykle bardziej drastyczne, niż w przypadku grup dominujących, większościowych i nie-stygmatyzowanych. Z mówcami takich mniejszych języków jest podobnie, jak z użytkownikami dialektów – tych mniej „prestżowych”, które zwykle wiążą się z niższą wartością ekonomiczną. Posługując się takim „mniej cennym” językiem mniejszości, mówcy są często przekonani, że skazują siebie i swoje dzieci na gorszy start ekonomiczny, na brak szans życiowych. Takie myślenie jeszcze pokutuje w wielu społecznościach. Tymczasem nic bardziej błędnego. Staramy się odwracać te stereotypy, przekonując, że wielojęzyczność może przynieść sukces – indywidualny, społeczny, regionalny...

Musimy tylko pamiętać, że struktury wielojęzyczności, którą często chwalimy i promujemy – obejmują też języki małe, zagrożone. To właśnie stabilna wielojęzyczność sprawia, że mogą one być bezpieczne w globalnym świecie przyszłości. Musimy jednak na nowo nauczyć się szanować tak zredefiniowaną wielojęzyczność.

Jak wygląda praca językoznawcy zajmującego się dokumentacją języka? Rusza on z dyktafonem w teren, nagrywa i ...?

W najbardziej podstawowej formie tak. Z tą różnicą, że dostępne są już nawet przenośne urządzenia, które pozwalają uzyskać naprawdę dobrą jakość nagrań. Zasadniczo staramy się coraz częściej nagrywać język w jego naturalnych przejawach, co tylko pozornie wydaje się zadaniem prostym. Językoznawcy muszą mierzyć się np. z paradoksem obserwatora. Mikrofon sprawia, że użytkownicy zachowują się nieco inaczej, mniej naturalnie. Nie używają form, które uznają za nieprzystojne, nie poruszają kwestii, które w ich odczuciu mogą być tabu. Z drugiej strony nie mamy prawa, aby do naturalnej sytuacji towarzyskiej wprowadzać ukryte mikrofony lub kamery. Wyściem jest zaprzyjaźnianie się ze społecznościami językowymi – trzeba jednak pamiętać, że nie wolno nam nadużyć ich zaufania. Użytkowników języka powinniśmy traktować jak twórców czy artystów, szanując ich prawa, oraz zadbać, aby służące dokumentacji dobre archiwa językowe miały różne poziomy dostępności, inne dla samych społeczności, inne dla specjalistów, a inne dla osób z zewnątrz.

Kilka miesięcy temu gratulowaliśmy panu nominacji na członka akademickiej społeczności Instytutu Smithsona – jednej z największych na świecie i najstarszej w USA jednostki muzealnej. Jak doszło do tej współpracy?

Marzenie o Instytucie Smithsona towarzyszyło mi od dzieciństwa. O jego kompleksie muzeów przeczytałem w *National Geographic*, do którego dostęp w schyłkowym PRL-u był moim oknem na świat. W jednym z numerów tego czasopisma znalazłem artykuł na temat przebogatych zbiorów smithsoniańskich. Wtedy zapragnąłem tam pojechać. Na realizację tego marzenia musiałem jednak trochę poczekać... Po raz drugi o przepastnych zbiorach Instytutu Smithsona przeczytałem, przygotowując

„Szacuje się, że około 96% ludności świata posługuje się zaledwie 4% języków – cała reszta odchodzi albo w najbliższym czasie może odejść w zapomnienie. Języki to nie tylko struktury, to całe uniwersa, w których zamknięte są pewne obrazy i rozumienie świata. Dlatego warto zaangażować się, aby te światy zatrzymać dla przyszłych pokoleń” – przekonuje językoznawca prof. Tomasz Wicherkiewicz.

swoją pracę magisterską nt. prac Bronisława Piłsudskiego na rosyjskim Sachalinie. Możliwość wyjazdu pojawiła się dopiero w 2018 r., kiedy z ramienia UAM rozpoczęliśmy udział w projekcie *COLING – Minority Languages, Major Opportunities. Collaborative Research, Community Engagement and Innovative Educational Tools* (Horyzont 2020). W ramach grantu mamy możliwości wyjazdów do wybranych zagranicznych placówek naukowych w USA. Od razu zdecydowałem, że będzie to właśnie IS. I tak we wrześniu 2019 roku stanąłem u bram Narodowego Muzeum Historii Naturalnej Instytutu Smithsona. To było niezwykle doświadczenie życiowe i naukowe.

Proszę o tym opowiedzieć.

Miałem możliwość uczestniczenia w badaniach w ramach programu *Recovering Voices – Revitalizing and sustaining endangered languages and knowledge*, który łączy badaczy wielu dziedzin. Rewitalizacja języków odbywa się tam m.in. przez odkrywanie wiedzy usłpionej w zgromadzonych w muzeum obiektach. Przez blisko sześć miesięcy miałem możliwość przyglądania się rozmaitym działaniom, które polegały np. na zapraszaniu członków społeczności rdzennych na kilkudniowe sesje tematyczne w przepastnych magazynach muzeum. W trakcie jednej z nich członkowie społeczności konfrontowani byli ze zbiorami plecionych koszyków, przypominali sobie rozmaite fakty związane z ludźmi, którzy je wyplatali, z technikami, materiałami, z których zostały wykonane itp. Z tym wiązał się cały kontekst przeszłości ekologicznej: gatunki drzew i krzewów, które w międzyczasie zniknęły lub uległy zagrożeniu, przez co wytwarzane z nich koszyki stały się bezcennymi eksponatami. Opowiadając o koszykach, uczestnicy projektu uruchamiali usłpione zespoły leksykalne oraz struktury językowe z nimi związane. Te spotkania były nagrywane, a następnie konfrontowane ze społecznościami. Bardzo często po takich „warsztatach” dochodzi do zwrotu niektórych przedmiotów ich prawowitym właścicielom.

Było to fascynujące – bardzo mocno odnalazłem się w tej metodzie badań. Stwierdziłem, że należy i poza Ameryką szukać sposobów na takie nowatorskie, dekolonizacyjne przeszukiwanie muzeów pod kątem zagrożonych języków i kultur.

Cały artykuł na www.uniwersyteckie.pl 



FOT. ADRIAN WYKROTA

DARIAH

spełnia marzenia filologów

Wkrótce badacze literatury i języka otrzymają nowatorskie narzędzia oparte m.in. o sztuczną inteligencję. - Te rozwiązania otworzą nas na nowe kierunki badań - mówi **prof. Mirosław Wobalis** z WFPIK, koordynator Węzła Filologicznego, jednego z sześciu modułów infrastruktury, budowanych na UAM w ramach projektu DARIAH-PL.

Węzeł Filologiczny jest częścią ogólnopolskiego projektu „Cyfrowa Infrastruktura Badawcza dla Humanistyki i Nauk o Sztuce DARIAH-PL”, który realizowany będzie na naszym uniwersytecie do końca 2023 roku. Autorzy Węzła zaplanowali digitalizację i opracowanie źródeł (wybranych i trudnodostępnych) oraz stworzenie innowacyjnych narzędzi cyfrowych do prowadzenia badań literaturoznawczych i językoznawczych. W każdym z tych modułów realizowanych jest kilka szczegółowych projektów. Jednym z nich, w ramach pierwszego modułu jest m.in. pozyskanie od Rosyjskiej Biblioteki Narodowej w Petersburgu i wstępne opracowanie archiwum „Kaliszanina. Gazety miasta Kalisza i jego okolic” z lat 1870-1892. Zadania tego podjął się **prof. Bogdan Hojdis**.

- „Kaliszanin”, podobnie jak inne periodyki prowincjonalne i warszawskie, miał ogromne znaczenie dla polskiej tożsamości narodowej w zaborze rosyjskim. Znajdziemy tam rozmaite informacje o regionie kaliskim, ale też drobne dzieła literackie i naukowe, recenzje teatralne czy po prostu ciekawostki z tamtego okresu. To ważne pismo, które nigdzie w Polsce

nie jest dostępne w całości. Już to, że udało nam się wydostać z Rosji ponad dwa tysiące numerów „Kaliszanina” jest sukcesem. Dzięki temu przywracamy istotną część polskiego dziedzictwa kulturowego XIX wieku - powiedział **prof. Mirosław Wobalis**.

Pozyskano również 990 afiszy teatralnych z lat 1887-1935 oraz „Korpus Frazeologiczny Języka Polskiego” zwany w skrócie archiwum **prof. Stanisława Bąby**. Digitalizacja materiałów zgromadzonych przez tego wybitnego językoznawcę z UAM była zadaniem wyjątkowo skomplikowanym i karkołomnym. Prof. Bąba zapisywał bowiem notatki na wszystkim, co miał pod ręką - fiskach, zaproszeniach, pocztówkach, pudełkach po butach, a nawet naklejkach na słoiki. Te rozproszone materiały, często pokryte niewyraźnym pismem, nie tylko trzeba było zeskanować, ale również odczytać. Tego zadania podjęli się **prof. Jarosław Liberek** z WFPIK i **prof. Filip Graliński** z WMiI. Do tego celu stworzono zaawansowane narzędzie informatyczne do automatycznego rozpoznawania, wyodrębniania i porządkowania wielowyrzawowych jednostek metaforycznych, frazeologizmów, idiomów, przysłów, powiedzeń, sentencji, skrzydlatych słów itp.

Wyjątkowość narzędzia polega na tym, że uczy się rozpoznawać i prawidłowo odczytywać metafory i frazeologizmy, z czym zwykle programy komputerowe nie dają sobie rady.

Projektowanie innowacyjnych narzędzi cyfrowych stanowi drugą, równie istotną część projektu. Opracowaniem narzędzi - od koncepcji, przez prototypy aż po wersje umożliwiające ich komercjalizację - zajął się interdyscyplinarny zespół.

- Największym wyzwaniem, jakie stanęło przede mną jako koordynatorem Węzła Filologicznego, było stworzenie zespołu specjalistów, reprezentujących pozornie odległe dyscypliny. Musieliśmy wyłonić wspólną płaszczyznę porozumiewania się informatyków z filologami. W tym, w czym **prof. Liberek** widzi język, informatyk musi dostrzec dane, które ubierze w narzędzia informatyczne. Najprostszym sposobem połączenia tych dwóch dziedzin nauki było wyobrażenie sobie praktycznych narzędzi, które będą miały konkretne funkcje - wyjaśnia **prof. Wobalis**.

„Cyfrowe biurko badacza” to ogólna nazwa grupy narzędzi informatycznych, dostępnych poprzez standardową przeglądarkę internetową, które służą do analizy różnego rodzaju tekstów źródłowych, w tym literackich. Podstawowym zadaniem narzędzi ma być sugerowanie i wspomaganie poprawnego metodologicznie toku pracy - w tym wspieranie prowadzonych cyfrowo badań nad tekstami z różnych epok. Podstawowe funkcje obejmują m.in. import danych, zamianę obrazu na tekst, automatyczną i ręczną korektę pozyskanego materiału, normalizację diachroniczną, wzbogacenie tekstu o warstwę semantyczną, automatyczną i ręczną anotację oraz wiele innych funkcji. Wszystkie te zadania wymagają wdrożenia i powiązania ze sobą wielu cyfrowych narzędzi - od miarki ekranowej przez mechanizmy wyszukiwawcze i obliczenia statystyczne na tekście, po mechanizmy pozwalające na wykorzystanie zasobów „Semantic Web” i środowisko, pozwalające na przygotowanie edycji cyfrowej publikacji. Wiele z tych narzędzi dostępnych jest w różnych zakątkach cyfrowego świata, ale dla badacza humanisty ich samodzielne wdrożenie i uruchomienie często jest trudną do pokonania barierą. Nad rozwojem „biurka badacza” czuwają prof. Bogdan Hojdis wraz z informatykiem **Adamem Cankudisem**. Ważną rolę w tworzeniu tych rozwiązań odgrywa podejście modułowe do narzędzi cyfrowych i pozostawienie przyszłym badaczom pełnej swobody w doborze przydatnych dla nich rozwiązań - tym samym inne będzie cyfrowe biurko językoznawcy a inne literaturoznawcy.

Moduł wizualizacji tradycyjnych i elektronicznych form twórczości literackiej, nad którym pracuje **prof. Konrad Dominas** wraz z Adamem Cankudisem, zakłada wykorzystanie w jednej aplikacji wielu użytecznych rozwiązań, dostępnych dotychczas w postaci rozproszonych, głównie anglojęzycznych platform. Celem tego działania jest opracowanie narzędzia webowego, ukazującego relacje między bohaterami, motywami i wątkami mitycznymi w postaci rozbudowanych, interaktywnych grafów. Materiałem badawczym dla członków zespołu jest podanie o Tezeuszu, natomiast punktem wyjścia korpus wyselekcjonowanych tekstów antycznych zawierających rozmaite wersje tego mitu.

Obecnie korpus ten składa się z ponad dwustu podzielonych tematycznie fragmentów, które prowadzą do konkretnych treści zarówno w oryginale, jak i w angielskim przekładzie. W szerszej perspektywie projekt umożliwi rozbudowywanie poszczególnych części mapy o rozmaite konteksty: religijne, literackie, psychologiczne, językoznawcze itp.

Zespół, w skład którego wchodzi: **dr Mariusz Pisarski**, informatyk **Michał Furgał** i **prof. Elżbieta Winiecka** pracuje nad innowacyjnym narzędziem do tworzenia i badania literatury elektronicznej o nazwie INKAH: Internetowe Narzędzie do Kolaboratywnej Animacji i Hipertekstu. INKAH będzie pełnić podwójną rolę. Po pierwsze, będzie rozbudowaną aplikacją do tworzenia utworów e-literackich. Po drugie, dzięki nakładce badawczej, umożliwi dostęp do aktywności użytkowników. W ten sposób badacz będzie mógł obserwować rodzaje działań autorów i czytelników, sposoby współpracy zespołowej i statystyki czytania. Dzięki możliwości eksportu plików, INKAH stanie się też archiwum utworów w wolnym dostępie. Bardzo istotny jest moduł kolaboracyjny, umożliwiający autorom wspólną pracę nad jednym utworem. To jedna z podstawowych funkcjonalności, która daje bardzo szerokie możliwości tworzenia dzieł o kilku ścieżkach narracyjnych.

- Te rozwiązania otworzą nas na nowe kierunki badań. Oczywiście te rozwiązania były wcześniej rozwijane, ale nie na taką skalę i nie w ujęciu badawczo-komercyjnym, jak w przypadku DARIAH - uważa prof. Wobalis.

Po zakończeniu prac nad projektem możliwe będzie nie tylko dodawanie lub tworzenie przez badaczy dowolnych tekstów źródłowych do celów badawczych, swobodne konfigurowanie modułów „biurka badacza”, ale także tworzenie zespołów badawczych w ramach pracy kooperatywnej. W związku z tym już teraz tworzone są tak zwane „scenariusze badawcze” opisujące przyszłe (na razie hipotetyczne) sposoby korzystania z opracowanych narzędzi.

Projekt rozpisany na 3 lata jest już na półmetku. Obecnie prototypy narzędzi są testowane i wkrótce autorzy nadadzą im finalny kształt. - Jestem bardzo zadowolony z tego, co robimy z zespołem. Dzięki konsorcjum DARIAH tworzymy rzeczy, które sobie do tej pory jedynie wyobrażaliśmy, o których marzyliśmy. To jest niesamowite! Mamy już pomysły, jak dalej wykorzystywać tę energię, dołączać do zespołu kolejne osoby i kolejne projekty. Widzimy bardzo duży potencjał projektu, który może się stać początkiem wielkiej cyfrowej przygody - podkreśla prof. Wobalis.

Warto dodać, że wszystko, co powstaje w ramach Węzła Filologicznego będzie bezpłatnie dostępne dla doktorantów i naukowców, ale też każdy będzie mógł skorzystać z narzędzi komercyjnie, wykupując odpowiednią licencję. Platforma chmurowa będzie dostępna na stronach konsorcjum DARIAH, jak również w osobnym serwisie w internecie. Osoby zainteresowane skorzystaniem z opracowywanej infrastruktury, już teraz mogą się kontaktować pod adresem dariah@amu.edu.pl.

Ewa Konarzewska-Michalak



Iłła i Grabosia czyli poetka i jej służąca

Z dr Lucyną Marzec z Wydziału Filologii
Polskiej i Klasycznej, znawczynią twórczości
Kazimierzy Iłłakowiczówny,
rozmawia Magda Ziółtek.

Dlaczego badacze literatury przez długie lata nie interesowali się twórczością Iłłakowiczówny?

To prawda, że Iłłakowiczówna przez wiele lat nie mieściła się w polu zainteresowań naukowych polonistów. Zapewne wynikało to z tradycji barańczakowej. Stanisław Barańczak, jeszcze jako student poznańskiej polonistyki, napisał paszkwilancką recenzję na ostatni tom wierszy poetki „Szeptem”, zarzucając mu naiwność i przesadny optymizm. Przedstawił w nim argumenty typowe dla stylu interpretacji, który w teorii literatury nazywamy hermeneutyką podejrzeń. Zakłada ona lekturę tekstów w sposób „podejrzliwy”, doszukujący się w nim stłumionych lub ukrytych znaczeń. Iłłakowiczówna była łatwym celem dla takiej lektury, bo wierzyła, że słowo oddaje rzeczywistość, przylega do niej. Obecnie coraz częściej model „podejrzliwej lektury” staje się obiektem podejrzliwości drugiego stopnia. Równolegle twórczość Iłłakowiczówny zaczyna interesować jako znaczące zjawisko w XX wieku. Tylko w ostatnim czasie powstały dwie nowe książki interpretacyjne, kilka szkiców krytycznych, a przede wszystkim popularnonaukowa biografia. Iłłakowiczówna powraca jako poetka, która może i posługiwała się bardziej tradycyjnymi formami ekspresji, ale robiła to w sposób niezwykle oryginalny. Interesująca dla nas jest np. warstwa brzmieniowa jej twórczości: echolalia, glosolalia. Takie środki stylistyczne, które operują nie tylko językiem, ale też na jego brzmieniem i odwołują się do odczuć somatycznych, często bardzo dziecięcych, związanych np. z kołysaniem, tuleniem, nuceniem.

Wiele osób kojarzy ją jako autorkę wierszy dla dzieci. Sama zetknęłam się z nią w szkole podstawowej.

Jej twórczość przez cały XX wiek była obecna w podręcznikach, wypisach szkolnych i antologiach poezji. I rzeczy-

wiście, w archiwum poetki zachowało się sporo listów od czytelników, którzy wspominają właśnie te wiersze, identyfikują z nimi „prawdziwą poezję”. Mam wrażenie, że przez cały czas nieobecności na kartach opracowań naukowych, Iłłakowiczówna funkcjonowała w obiegu szkolnym, wśród zwykłych czytelników, gdzie zajmowała i zajmuje ważne miejsce. Widać to również i dziś. W Internecie jest wiele jej wierszy. Zwłaszcza muzycy sobie je upodobili, od tych wysoko awangardowych – Karola Szymanowskiego, Witolda Lutosławskiego czy Witolda Szalonek po bardziej popularnych. Ostatnio młoda wokalistka, Natalia Moskal, zaaranżowała muzykę do słów Iłły w stylu pop.

We wspomnieniach Kazimierza Iłłakowiczówna zapisała się jako osoba oschła, trzymająca na dystans. A jaka była naprawdę? Czy listy, które zachowały się w archiwum kórnickim, potwierdzają taki obraz poetki?

Naprawdę bywała oschła i naprawdę bywała serdeczna. Z archiwum poetki wyłania się złożona osoba, która jednych trzyma na dystans, a wobec innych okazuje ciepło. Iłłakowiczówna utrzymywała wieloletnie zażyłe znajomości. Bardzo dbała o swoje przyjaciółki – bo były to głównie kobiety – miała dla nich czas, pisała listy, dopytywała o ich zdrowie. Za to dla przygodnych osób bywała surowa. Zwłaszcza dla reprezentantów instytucji literatury, a więc wydawców, redaktorów – potrafiła im dopiec.

Jak opisałaby pani relację między Iłłakowiczówną a Józefą Grabowską, jej wieloletnią służącą?

Możemy ją odtworzyć na podstawie listów, które wraz z całym archiwum Iłłakowiczówny zachowały się w Bibliotece

Kórnickiej. To 33 listy, pisane między 1939 a 1955 rokiem. Osiemnaście z nich to listy Grabowskiej do Iłakowiczówny.

W 1934 Kazimiera Iłakowiczówna zakupiła mieszkanie w Warszawie. Jako sekretarz Józefa Piłsudskiego i urzędniczka państwowa mogła sobie na to pozwolić. Wtedy właśnie zatrudniła Józefę Grabowską jako swoją służącą. Wcześniej – co wiemy z listów – Grabowska pracowała u Iłły jako posługaczka czyli służąca na godziny. W 1939 Iłakowiczówna wyemigrowała, razem z całym ministerstwem spraw zagranicznych, do Rumunii. Swoje mieszkanie zostawiła pod opieką służącej. W listach z tego okresu Grabowska raportuje o stanie mieszkania, opowiada o znajomych, sąsiadach, o ich losach. Po jednym z wybuchów służąca donosi, że wypadły okna w mieszkaniu i zbiera od dłużników Iłakowiczówny sumę na ich naprawę. Potem opowiada, jak koordynuje remont. Listy pokazują, że Grabowska całkiem dobrze liczy. Co jest ważną informacją, bo jest osobą niepiśmienną, tak jak większość osób z klasy robotniczej i chłopskiej w tym czasie. O naprawdę niskim stopniu jej piśmienności świadczy podpis, który znajduje się na kilku listach, jest on na granicy przysłowiowego krzyżyka. W tym czasie osoby, które nie potrafiły pisać, korzystały z pomocy innych i była to powszechna praktyka. Analfabetyzm nie wykluczał całkowicie, zawsze w otoczeniu znajdował się ktoś, kto czytał na głos gazety. Dlatego mówi się o stopniach analfabetyzmu i o „analfabetyzmie funkcjonalnym”. Grabowska jest tego doskonałym przykładem. Nie potrafiła pisać ani czytać, a prowadziła korespondencję ze swoją pracodawczynią, która, tak się złożyło, była poetką, czyli osobą wysoko piśmienną.

Charakter tych listów zmienił się w 1940. Wówczas do mieszkania Iłakowiczówny wprowadziła się wraz z córkami siostra Iłły i wyrzuciła Grabowską na bruk. Służąca trafiła do schroniska dla bezdomnych. W archiwum zachowały się dwa listy, które pozwalają zrozumieć dramatyzm sytuacji. Pierwszy został napisany tuż przed Wigilią 1940 roku ręką znajomej Grabowskiej. Grabowska relacjonuje w nim, że znalazła się w przytułku. Drugi napisała w imieniu Grabowskiej siostrzenica Iłakowiczówny w samą Wigilię, informując, że Grabowska spędza święta z rodziną poetki i „wszystko między nimi dobrze”. Ani słowa o wyprowadzce! Ta para listów pokazuje, że w całej korespondencji nie ma co szukać „głosu” Grabowskiej. Grabowska nie dyktowała listów, a jedynie mówiła, co powinno się w nich znaleźć. Skrypcy mogli jednak – a w sumie musieli – modyfikować, przekształcać, czasem, jak widać, ignorować, czy wręcz kłamać. Formy grzecznościowe, pozdrowienia, styl wypowiedzi należały całkowicie do skrypców. Dlatego listy są bardzo zróżnicowane kompozycyjnie, stylistycznie, już nie mówiąc o dukcie pisma, ortografii i interpunkcji, które zdradzają umiejętności piśmiennicze skrypcy.

Jak Iłakowiczówna zareagowała na wyrzucenie służącej z jej mieszkania?

Nie mogła tego wybaczyć siostrze i siostrzenicom. W tym

czasie zmieniała się też jej relacja z Grabowską. Przestaje być jej służącą, kończy się relacja pracy. Najciekawsze jest więc to, że stara się ją odnaleźć. Pisze w tej sprawie listy do znajomych. Widać, że zależy jej na odszukaniu Grabowskiej, że czuje się za nią odpowiedzialna. W końcu, już po wojnie, decyduje się dać do gazety wierszowane ogłoszenie. Pomaga jej w tym Tuwim. Wiersz-ogłoszenie ukazuje się w 1946 roku.

Co to jest za wiersz?

Wiersz ma tytuł „Do mojej Grabosi” – bo tak swoją służącą nazywała Iłakowiczówna. Poetka streszcza w nim swoje losy wojenne, a równocześnie anonsuje, że szuka swojej dawnej służącej i że za nią tęskni. To było skuteczne, bo Grabowska dość szybko odnajduje się i pisze do swojej byłej pracodawczyni. W kolejnych listach opowiada o swoich wojennych losach. Z tego powodu jest to bardzo cenny dokument historyczny. Bardzo mało zachowało się świadectw i historii osób niepiśmiennych. Grabowska mieszka wtedy w Domu Misjonarzy Wincentego Paulo w Warszawie pośród innych osób, będących w podobnej sytuacji co ona. Korespondencja w tym okresie zamienia się w dialog dwóch kobiet, które kiedyś łączyła nić. Nadal widać różnice stanowe, klasowe, i to, że Iłakowiczówna jest opiekunką Grabowskiej, ale ta druga nie jest już jej podległą, jest „emerytowaną” służącą. Poetka w listach dopytuje o zdrowie dawnej służącej, przesyła różnego typu prezenty, również pieniądze. Z listów dowiadujemy się też, że się spotykały. Kontakt listowny utrzymują aż do śmierci Grabowskiej w 1958.

Rozmowę zaczęłyśmy od stwierdzenia, że poloniści nie interesowali się Iłakowiczówną. Pani jednak postanowiła właśnie jej poświęcić swoje badania naukowe – dlaczego?

A jaka jest najlepsza odpowiedź na to pytanie, bo często je słyszę? I jeszcze: czy lubię Iłakowiczównę? Pracuję nad jej archiwum i spuścizną od 2014 roku – gdybym jej do tej pory nie polubiła, to byłoby ze mną niedobrze. Nie byłam wielką wielbicielką jej twórczości, która swoją pasję przekłada na prace naukowe. Raczej zastanawiałam się nad tym – od czego zaczęłyśmy naszą rozmowę – jak to jest możliwe, że poetka, która jest powszechnie czytana i znana, która otrzymała wszystkie możliwe w XX wieku nagrody literackie, nie doczekała się większych opracowań krytycznoliterackich. A potem zainteresowałam się spuścizną, jaką po sobie zostawiła, trafiłam do Biblioteki Kórnickiej i to mnie pochłonęło.

Dr Lucyna Marzec z Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej od 2014 roku zajmuje się spuścizną po Kazimierze Iłakowiczównie. W ramach projektu „Niepiśmienna służąca i jej pani – poetka. Korespondencja Józefy Grabowskiej i Kazimierzy Iłakowiczówny (1939-1955) [IDUB] przygotowuje edycję listów, które znajdują się w Bibliotece Kórnickiej PAN.



FOT. ADRIAN WYKROTA

Wyjść ze strefy komfortu

Dla **dr. Michała Antoszczaka** praca badawcza jest pasją. Mimo zachęty do pozostania we Francji, wrócił z półtorarocznego stażu w paryskim Instytucie Curie. Nadal poszerza zakres badań wokół „przeciwnowotworowych koni trojańskich”, które tym razem stanęły w kolejce po grant ERC.

„przeciwnowotworowych koniach trojańskich”, czyli o projekcie badawczym dr. Michała Antoszczaka z Wydziału Chemii, pisaliśmy w 2019 roku. Projekt, finansowany m.in. przez NCN w ramach programu Uwertura, zapowiadał się obiecująco, a sam naukowiec przygotowywał się do wyjazdu do Francji, gdzie w Instytucie Curie miał prowadzić innowacyjne badania m.in. nad salinomycyną – związkami naturalnym o niezwykle wysokiej skuteczności w walce z komórkami nowotworowymi. To właśnie salinomycyna stanowić miałyby główny element „konia trojańskiego”. Obudowana witaminami wnikałaby do wnętrza komórek nowotworowych i zabijała je. Z uczonym, bogatszym o ponad dwuletnie doświadczenia, spotkaliśmy się ponownie.

– W 2 tygodnie po naszym przyjeździe do Francji zarządzono lockdown. Pandemia zbierała żniwo, a ja, podobnie jak inni, zostałem zamknięty w mieszkaniu – mówi dr Antoszczak. – To nie była dla nas komfortowa sytuacja. Staż miał się zacząć na początku marca 2020 roku. Ledwo poznałem swojego szefa i współpracowników, a już ogłoszono zamknięcie Instytutu Curie. Obcy kraj, ogromna metropolia. Trzeba się było tam odnaleźć w wyjątkowych okolicznościach.

Dr Antoszczak stara się być optymistą w każdej sytuacji. Tak było i tym razem. W tym trudnym czasie priorytetem dla niego i najbliższych było przystosowanie się do zastanych warunków. Wszystkie formalności załatwiano online, a intensywny kurs języka francuskiego przydał się w kolejnych miesiącach. W tym samym czasie Instytut Curie nie pracował normalnie. W ruchu ciągłym pozostawały jednak laboratoria, w których próbowano odkryć lek na koronawirusa. W maju do tej grupy zaczęli dołączać inni. Instytut był traktowany priorytetowo.

– Mam nadzieję, że Paryż nie będzie już nigdy taki, jak w owym maju. Mając specjalne przepustki, przemieszczaliśmy się po wyludnionych ulicach, zamknięte były kawiarnie i restauracje, a w metrze zawsze były miejsca siedzące – wspomina dr Antoszczak. – Wróciliśmy do pracy. Nie mogliśmy jej wykonywać przed ekranami komputerów. Nasza obecność w laboratoriach była niezbędna.

Kilkunastoosobowy międzynarodowy zespół skupiony wokół prof. Raphaëla Rodrigueza miał na swym koncie już wiele sukcesów związanych nie tylko z badaniami nad salinomycyną. Byli w nim Francuzi, Niemcy, Hiszpanie, do których dołączył naukowiec z Polski. Prof. Rodriguez wraz ze współ-

pracownikami specjalizującą się w syntezie tzw. *small molecules* z przeznaczeniem do szczegółowych badań biologii komórek na poziomie molekularnym oraz jako nowych kandydatów na leki przeciwnowotworowe. Salinomycyna była w Paryżu nadal na badawczym topie, to ten zespół bowiem opublikował pracę w prestiżowym *Nature Chemistry*, gdzie przedstawił chemiczną modyfikację salinomycyny, prowadzącą do otrzymania jej pochodnej – ironomycyny, która była wielokrotnie bardziej aktywna wobec komórek nowotworowych zarówno w badaniach *in vitro*, jak i *in vivo*. Mój rozmówca przekonuje, że to właśnie te osiągnięcia skłoniły go do złożenia wniosku grantowego o współpracę z grupą prof. Rodrigueza. Na miejscu okazało się, że poza badaniami salinomycyny poznański naukowiec mógł uczestniczyć w kolejnych dwóch projektach.

– Profesor Rodriguez to chemik o rozległej wiedzy, naukowiec o szerokich horyzontach, który swobodnie potrafi poruszać się między niezwykle złożonymi zagadnieniami z pogranicza chemii i biologii. Przy tym to wspinały człowiek. Nie wywyższający się, zawsze dostępny. Pojechałem do Paryża jako chemik – mówi dr Antoszczak. – Bardzo liczyłem jednak na to, że ten staż rozwinię mnie nie tylko w mojej dziedzinie. Uważam, że aby się rozwijać, należy wychodzić ze stref komfortu. Bardzo chciałem pracować w laboratorium biologicznym i dzięki profesorowi Rodriguezowi było to możliwe. Jego grupa badawcza, podobnie jak on sam, łączy wiedzę chemiczną i biologiczną. To eksperci światowej klasy. U nas jest to trudne do zrealizowania, ale w Instytucie Curie w sąsiedztwie laboratoriów chemicznych mieliśmy laboratoria biologiczne i szpital onkologiczny. Mogliśmy w trakcie naszej codziennej pracy obserwować zmiany zachodzące w komórkach nowotworowych, którym podawaliśmy syntezowane związki chemiczne. Z biologami można było porozmawiać o chemii i na odwrót.

W Paryżu jednym z zadań dr. Antoszczaka było poddanie ironomycyny dalszym przekształceniom chemicznym i badanie właściwości otrzymanych pochodnych. Wszystko po to, by jeszcze bardziej zwiększyć jej biologiczną moc wobec komórek nowotworowych. – Dostałem pulę takich komórek i musiałem o nie dbać, pracując w ściśle sterylnych warunkach – wspomina. – Widok był zarazem piękny, jak i przerażający. Dostarczaliśmy komórkom pożywkę i obserwowaliśmy ich nieustanne namnażanie. Co trzy dni musiałem pobierać ich część i przenosić do innego naczynia ze świeżą pożywką, aby miały miejsce i składniki odżywcze do ciągłego, niepożądanego namnażania. Jedną z niewielu możliwości skutecznego uśmiercenia komórek nowotworowych było pozostawienie ich w spokoju do całkowitego wysycenia podłoża hodowlanego.

Namnażanie to jedno, ale istota pracy polegała na znalezieniu sposobu walki z komórkami nowotworowymi. Przez pierwsze miesiące pracy dr Antoszczak zajmował się głównie częścią chemiczną, czyli syntezą nowych środków przeciwnowotworowych. Po ich zsyntezowaniu były one przenoszone do laboratorium biologicznego i aplikowane badanym komórkom, zarówno nowotworowym, jak i prawidłowym. – Okazało się, że związki

chemiczne, które zsyntetyzowałem, były aktywniejsze wobec macierzystych komórek nowotworowych od ironomycyny. Ironomycyna ma w swojej strukturze terminalne wiązanie potrójne – wyjaśnia chemik. – Pomysłem było zastosowanie „chemii klik” celem otrzymania serii pochodnych 1,2,3-triazolowych. Profesor Rodriguez był raczej sceptycznie nastawiony do tego pomysłu i teraz nieco żałuję, że się z nim wtedy nie założyłem. Otrzymałem serię około 10 pochodnych. Okazało się, że połowa tych pochodnych była bardziej aktywna od ironomycyny. Była pierwsza wspólna publikacja. Była ogromna satysfakcja. Warto tu wspomnieć, że w Polsce syntetyzujemy ogromne biblioteki związków chemicznych, które wysyłamy do dalszych badań we współpracy z zaprzyjaźnionymi biologami. Świetnie, gdy są one aktywne przeciwnowotworowo. W Instytucie Curie wystarczyło jednak otrzymanie zaledwie kilku pochodnych i można było niezwłocznie sprawdzić, czy obrany kierunek jest prawidłowy. Pierwsze wyniki testów były gotowe już w ciągu kilku dni.

Pobyt w Paryżu zaowocował do tej pory dwiema wspólnymi publikacjami i trzema europejskimi zgłoszeniami patentowymi. A to nie wszystko, kolejna publikacja bowiem w drodze i jak się okazuje – może być ona wyjątkowa. To był jeden z dodatkowych projektów, nad którym dr Antoszczak pracował w grupie prof. Rodrigueza. – Z projektem był problem chemiczny, ściśle syntetyczny i za tę część badań na początku odpowiadałem – mówi dr Antoszczak. – Udało mi się go rozwiązać. Następnie we współpracy z francuskimi kolegami prowadziliśmy badania w laboratorium biologicznym. Konceptyjnie będzie to coś zupełnie nowego, ale nie chcę wchodzić w szczegóły przed ukazaniem się publikacji. Praca jest obecnie w recenzji w prestiżowym czasopiśmie.

Staż w Paryżu pozwolił też nawiązać nowe kontakty i jeszcze bardziej wzmocnił pozytywne postrzeganie poznańskiej chemii nad Sekwaną. – Byłem u profesora Rodrigueza na przyjęciu urodzinowym. Mieszka niedaleko katedry Notre Dame. Miałem okazję poznać wiele fascynujących osobistości świata nauki – wspomina dr Antoszczak. – Poczułem się niezwykle wyróżniony, gdy profesor zaproponował mi pracę w Instytucie Curie. To było bardzo kuszące, ale odmówiłem. Jestem mocno związany z UAM i Zakładem Chemii Medycznej, którego kierownikiem jest **profesor Adam Huczyński**, naukowiec o wielkiej wiedzy, pasji i intuicji chemicznej. Mamy tu świetny zespół uzdolnionych i pracowitych ludzi. Od profesora Rodrigueza dostałem zapewnienie, że jeśli będziemy chcieli realizować wspólne projekty naukowe, to jest otwarty na współpracę. Podobnie przychylnie odniósł się do przyjmowania naszych studentów na staże, czy też do badania syntezowanych przez nas związków chemicznych.

Co dalej? Dr Michał Antoszczak złożył wniosek o grant ERC dotyczący „przeciwnowotworowych koni trojańskich” i dostał się do kolejnej rundy. Rozmowa wideokonferencyjna z panelem już we wrześniu.

Krzysztof Smura



Prowadzę

Prof. UAM Iwetta Andruszkiewicz jest pomysłodawczynią i dyrektorką Uniwersyteckiego Centrum Badań nad Partycypacją Kobiet w Przestrzeni Publicznej. Laureatką przyznawanej przez studentki i studentów nagrody Wielkiej Gali WNPID 2022 w kategorii „Pasjonat”. Prywatnie interesuje się driftingiem, a pasję do jazdy w bezpiecznych warunkach chciałaby przenieść na grunt akademicki. Z prof. Iwettą Andruszkiewicz rozmawia Michalina Łabiszak.

Naukowo wiele czasu poświęca pani kwestiom równouprawnienia kobiet i mężczyzn, roli kobiet na rynku pracy, najogólniej mówiąc – partycypacji kobiet w przestrzeni społeczno-ekonomicznej. Dlaczego zaangażowała się pani właśnie w tę tematykę?

Współcześnie obserwujemy wiele przemian w różnych przestrzeniach społecznych. Czynniki te wpływają także na losy edukacyjne kobiet. Kobiety, które pracują naukowo, najczęściej muszą umiejętnie połączyć wszystkie funkcje, które narzucają sobie same lub które narzuca im otoczenie. Jest to jeden z powodów, dla których w statystykach uczelnianych jest ich mniej na wyższych stanowiskach. Nasze życie składa się z wielu aspektów i ról, którym musimy podołać. Uważam, że kobieta przedsiębiorcza w nauce zna swoje ograniczenia, ale konsekwentnie je eliminuje, ma pomysł na siebie i go realizuje. Dostrzega w otaczającej ją rzeczywistości szanse, podejmuje działania i odnosi sukces. Kobiety, absolwentki naszego uniwersytetu, to jedno z najbardziej przedsiębiorczych

kobiet, nawet jeżeli rynek pracy nie stoi przed nimi otworem, nie zamykają się w bierności, o czym świadczy liczba kobiet – uczestniczek studiów podyplomowych oraz kobiet, które podejmują wyzwanie i pracują na własny rachunek. W XXI wieku na uniwersytecie zmieniają się potrzeby i aspiracje kobiet, ich widzialność oraz udział w procesie sprawowania władzy. Kobiety coraz częściej decydują się na realizację swoich zawodowych aspiracji w dziedzinach związanych z technologią i tych, które jeszcze kilkanaście lat temu były postrzegane jako tradycyjnie męskie. To zagadnienia, które od zawsze mnie interesowały i inspirowały, dlatego zajmuję się nimi naukowo.

Interesuje się pani driftingiem: jak łączy się to z pani działalnością w dziedzinie wspierania kobiet?

Chciałabym, aby wkrótce przełożyło się to na zorganizowanie kursów jazdy w trudnych warunkach dla zainteresowanych z naszej społeczności akademickiej, ale nie tylko dla kobiet.

Zwiększy to poziom bezpieczeństwa i podniesie umiejętności użytkowników naszych dróg. Kobiety są bardzo dobrymi kierowcami, uważam jednak, że takie szkolenie powinien przejść każdy kierowca.

Pani także ćwiczy jazdę w kontrolowanym poślizgu. Od jak dawna?

Technikami bezpiecznej i szybkiej jazdy zainteresowałam się kilka lat temu, w moim życiu istniała wówczas potrzeba opanowania techniki jazdy w trudnych warunkach ze względu na moje częste podróże służbowe do Warszawy i na Mazury. W ten sposób ukończyłam kursy doskonalące technikę jazdy w przeznaczonych do tego ośrodkach szkoleniowych. Nauka panowania nad pojazdem jest wspaniałym doświadczeniem, ale zawsze należy ją doskonalić w przeznaczonych do tego miejscach – na zabezpieczonym torze przy ośrodkach doskonalenia technik jazdy. I tak z potrzeby doskonalenia jazdy powstało hobby.

Wyobrażam sobie, że oprócz sprawnego panowania nad kierownicą drifting podnosi adrenalinę.

Jazda w kontrolowanym poślizgu to spora dawka emocji, należy mieć jednak na uwadze własne umiejętności rajdowo-drifttingowe i otoczenie na torze. Poślizgi są niezwykle widowiskowe, bywają jednak niebezpieczne, zwłaszcza dla ludzi, którzy mają skłonności do podejmowania nadmiernego ryzyka.

Jest pani inicjatorką i dyrektorką Uniwersyteckiego Centrum Badań nad Partycypacją Kobiet w Przestrzeni Publicznej. Skąd pomysł na jego utworzenie?

Pomysł utworzenia Centrum powstał w wyniku konsultacji ze środowiskiem akademickim i biznesowym, organizacjami kobiecymi, stowarzyszeniami, fundacjami. Uwzględniając potrzeby płynące z interdyscyplinarności badań naukowych, powołano Ogólnouniwersyteckie Centrum Badań nad Partycypacją Kobiet w Przestrzeni Publicznej. Potrzeby związane z diagnozą sytuacji kobiet wymagają współdziałania różnych dyscyplin nauk. Naprzeciw tym oczekiwaniom wychodzić ma Centrum, które będzie miejscem realizacji badań i projektów z różnych dziedzin. Centrum powstało w maju 2021 roku.

Od inauguracji działalności Centrum mięło kilka miesięcy. W tym czasie odbyły się ważne spotkania. Ostatnim było seminarium naukowo-sportowe Babskie Granie UAM, połączenie konferencji naukowej z turniejem futsalowym kobiet. Seminarium dotknęło ważnego tematu – problematyki dyskryminacji kobiet w sporcie.

Z badań wynika, że dominująca pozycja mężczyzn w sporcie uwarunkowana jest kulturowo, a kwestia dyskryminacji kobiet w tej dziedzinie jest przedmiotem wielu analiz i opracowań. Sport może być istotnym czynnikiem w emancypacji różnych grup społecznych. Dlatego powinniśmy aktywnie działać na

rzecz zwiększenia w nim udziału kobiet, a przeciwdziałanie dyskryminacji ze względu na płeć w sporcie warte jest wysiłku. Odpowiadając na to zjawisko i chcąc podkreślić jego wpływ na pozycję kobiet, Centrum Badań nad Partycypacją Kobiet w Przestrzeni Publicznej, SWFiS oraz WNPiD zorganizowali wydarzenie, które było połączeniem konferencji naukowej poświęconej partycypacji kobiet w sporcie oraz turnieju futsalowego Babskie Granie UAM. Sport może być narzędziem zmiany sytuacji w zakresie równouprawnienia kobiet i mężczyzn ze względu na wartości, które z niego płyną: zasadę fair play, pracę zespołową i niedyskryminowanie. Płeć jako cecha uniwersalna jest szczególnie podatna na tworzenie stereotypów. Kobiety, poprzez sport, mogą wzmacniać poczucie pewności siebie i eliminować krzywdzące stereotypy. Popularyzacja sportu i aktywnego trybu życia sprawiła, że wydarzenie spotkało się dużym zainteresowaniem w środowisku akademickim.

Jakich jeszcze inicjatyw podjęło się Centrum w ciągu ostatnich kilku miesięcy?

26 listopada 2021 roku Centrum Badań nad Partycypacją Kobiet w Przestrzeni Publicznej UAM wspólnie z prof. Robertem Kmiecikiem, pełnomocnikiem rektora ds. równego traktowania oraz Centrum Marketingu UAM zorganizowało seminarium poświęcone zwiększaniu widoczności dorobku naukowego skierowane do osób będących członkami naszej społeczności akademickiej. W styczniu 2022 Centrum nawiązało współpracę z organizacjami kobiecymi, stowarzyszeniami i fundacjami, uczestnicząc w wielu konferencjach i warsztatach. Marzec był dla Centrum między innymi miesiącem inauguracji cyklu wykładów dla młodzieży szkół średnich Poznania pt. „Stereotypy i feminatywy”. Wykłady spotkały się z dużym zainteresowaniem. W marcu rozpoczęliśmy także pierwszą edycję spotkań z ekspertami i ekspertkami rynku pracy poświęconą procesom rekrutacyjnym, a przeznaczoną dla studentek i studentów UAM. Centrum otrzymało zaproszenie do udziału w projektach unijnych. Aktualnie pracujemy nad interdyscyplinarną publikacją naukową o partycypacji kobiet w życiu publicznym. Bardzo zależy nam na tym, aby zarówno seminarium o promocji dorobku naukowego, jak i konferencja połączona z turniejem futsalowym stały się cykliczne w kalendarzu wydarzeń akademickich.

Czego możemy się spodziewać w Centrum w nadchodzącym czasie?

We wrześniu planujemy zorganizować wspólnie z wolontariuszkami Forum Kobiet. To autorski projekt studentek UAM skierowany do wszystkich kobiet. Jest połączeniem wielu pokoleń kobiet i przestrzenią do wymiany doświadczeń i inspiracji. Celem Forum jest wspieranie wielopoziomowej przemiany osobistej. O szczegółach więcej będziemy mogli powiedzieć już wkrótce.

Ze wsparciem akademickich nauczycieli

Z Lechem Dymarskim, absolwentem Wydziału Filologicznego UAM, aktorem Teatru Ósmego Dnia, współpracownikiem Komitetu Obrony Robotników, rozmawia Dariusz Nowaczyk.

Dlaczego uniwersytet, dlaczego polonistyka?

W moim przedziale wiekowym większość kolegów szła na politechnikę. Ja też myślałem o politechnice, student politechniki – to brzmiało prestiżowo. Gdy mój ojciec zobaczył, że próbuję zrobić radio w pudełku od mydła, uznał, że jestem uzdolniony w tym kierunku. Byliśmy wyżem demograficznym, trzeba więc było kalkulować: gdzie łatwiej się dostać?

Zdawałem na Wydział Elektryczny, gdzie przypadało ośmiu kandydatów na jedno miejsce, ale nie dostałem się, bo zadanie z fizyki mnie przerosło. Zapisalem się więc do szkoły pomaturalnej, przy Technikum Mechanicznym na Dębcu, ze specjalizacją – metrologia warsztatowa, czyli dziedzina precyzyjnych pomiarów. Ci, którzy nie dostali się na studia, podlegali poborowi do wojska, a stacjonarna nauka odsuwała to w czasie. Po roku zdałem do Wyższej Szkoły Ekonomicznej (dzisiaj Uniwersytet Ekonomiczny). To była trochę inna szkoła niż obecnie, dużo było abstrakcji – trudno było młodemu człowiekowi pojąć na podstawie podręczników wyższość gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną. Ten epizod też trwał tylko rok.

Czyli wybór filologii polskiej nie wynikał z miłości do literatury...

Miłości do literatury w liceum mi nie „zaindukowano”. Ona rodziła się później. Przystąpiłem do Teatru Ósmego Dnia i, jak

zaświadczał Lechu Raczkak, byłem aktorem co najmniej niezłym. Uczestniczyłem m.in. w przedstawieniu, moim zdaniem, najważniejszym w jego historii – „Jednym tchem”. W Teatrze Ósmego Dnia moje zainteresowanie literaturą się ugruntowało.

Jednak odszedł pan na początku lat siedemdziesiątych.

Odszedłem wcześniej niż zamierzałem. Żałowałem tego, jak i chyba Lech Raczkak, jednak względy personalne zmusiły mnie do takiej decyzji. Wszedłem do teatru, gdy jeszcze nie było kręgów przyjaciół, adoratorów, wszedłem do, że tak powiem, starej gwardii. Ja jestem z rocznika 49, a Raczkak i dwaj czołowi aktorzy, czyli Marek Kirschke i Waldemar Leiser, byli o trzy lata starsi. Teatr Ósmego Dnia powstał na uniwersytecie, pierwszym dyrektorem był Tomasz Szymański, który później był wieloletnim dyrektorem teatru w Gnieźnie. Takim spiritus movens włączenia się naszego teatru w nurt reprezentowany przez Laboratorium Jerzego Grotowskiego był Zbigniew Osiński. Po odejściu z teatru działałem samodzielnie, robiłem widowiska plenerowe, także we współpracy z warszawskim „Salonem Niezależnych”.

Innym polem działalności była Galeria ON.

To bardzo ciekawy epizod. Uczestniczyłem aktywnie w czymś, co nazywano ruchem kultury studenckiej. Odbывało się to

FOT. ADRIAN WYKROTA

WYDAWCA:

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Rektorat, 60-712 Poznań,
ul. Wieniawskiego 1

redakcja@amu.edu.pl
www.uniwersyteckie.pl

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów, zmiany tytułów.

Za treść zamieszczanych ogłoszeń, reklam i komunikatów redakcja nie odpowiada. Zapraszamy do wszechstronnej współpracy.

REDAKTOR NACZELNY: Krzysztof Smura, krzsmu@amu.edu.pl

SEKRETARZ REDAKCJI: Magda Ziółek, magdazio@amu.edu.pl

REDAKCJA: Ewa Konarzewska-Michalak, Maria Rybicka

WSPÓŁPRACA: Michalina Łabiszak, Dariusz Nowaczyk, Jagoda Haloszka

FOTO: Adrian Wykrota, adrwyk@amu.edu.pl

KOREKTA: Maria Nowak

ADRES REDAKCJI: ul. Święty Marcin 78 [2 piętro],
61-809 Poznań

BIURO REDAKCJI: Ewa Konarzewska-Michalak, ewakon2@amu.edu.pl

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Zosia Komorowska

DRUK: Wieland, Drukarnia Cyfrowa
wieland.com.pl

ul. Ziębicka 17, 60-164 Poznań

Numer do druku oddano 23 maja 2022 r.

pod skrzydłami Zrzeszenia Studentów Polskich, które za Gierka przekształcono w Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, ale to już nie była ta atmosfera. Wcześniej władze nie wymagały od Zrzeszenia aktywności propagandowej. Galeria powstała na Fredry 7, na poddaszu zarządu SZSP. Nie byłem jedynym pomysłodawcą tego przedsięwzięcia, bo istotną rolę odegrał plastik Jacek Kukieła. Ja zostałem dyrektorem tej galerii. Nazywała się ona pierwotnie Galeria Olgierda Nowaka. A kto to był? Nikt, albo inaczej: taki everyman. Jest jakiś patron, do końca się nie wyjaśni, kto to taki – rodzaj trwałego happeningu. Miałem ambicję, aby koncentrowało się tam życie intelektualne.

Długo tam pan nie zagrzał miejsca...

W 1977 byłem już stale obserwowany przez bezpiekę. Status „sprawy operacyjnego rozpracowania” uzyskałem w 1975 po zbiorce podpisów przeciwko zmianom w konstytucji PRL. Zauważono także moje kontakty z Jackiem Kuroniem czy Adamem Michnikiem. Po kilkunastu miesiącach pracy w galerii wezwał mnie przewodniczący ZW SZSP i oznajmił, że „oni” mu powiedzieli – tutaj wskazał ręką na widoczny z okna budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR (dziś Collegium Martineum) – że „albo ty albo ta galeria”. Co miało znaczyć, że jak pozostanę nadal dyrektorem, to „oni” zamkną galerię. Po zwolnieniu z Galerii ON, zadzwonił do mnie Andrzej Titkow i zaproponował stanowisko asystenta przy filmie, który reżyserował. To była umowa na rok. Bezpieka też tam dotarła i zwolniła mnie przed terminem zakończenia umowy.

Skończył pan również studia scenopisarskie...

Nie chciałem się poddać władzy ludowej w tym sensie, że już do końca życia zostanę zawodowym rewolucjonistą, choć trudno było połączyć uczciwą karierę z aktywną działalnością opozycyjną. Na ogłoszenie o naborze do studium scenariuszowego przy łódzkiej szkole filmowej wysłałem dokumenty wraz z gotowym scenariuszem filmowym. Zaproposili mnie na rozmowę kwalifikacyjną i zostałem przyjęty. Tak gdzieś po roku dyrektor zaprosił mnie na spotkanie i powiedział, że nie ma podstaw do relegowania, bo pan, panie Leszku, jednak pisze, czego nie można powiedzieć o wszystkich naszych studentach. I tak to wytłumaczmy esbekowi, który nadzoruje szkołę. Poza tym wyrzucenie pana mimo, że jest pan korowcem, nie byłoby polityczne, bo wywiązuje się pan z obowiązków. Na dodatek ogłosił to Wolna Europa, będą protesty. I niemal zawarli ze mną umowę: my, jak tylko się da, będziemy pana chronić, o nic pana nie pytamy, a pan niech nic nie pisze, żebyśmy nie musieli tego oceniać.

Były różne powody podejmowania działalności opozycyjnej. Co spowodowało, że pan się na to zdecydował?

Określenie mojego stosunku do rzeczywistości PRL nastąpiło ostatecznie po grudniu 1970. Chociaż wówczas wielu jeszcze wierzyło w prawdziwy komunizm, na zasadzie, że

tę rzeczywistość, która jest, odrzucamy, ale gdzieś jest jakiś komunizm prawdziwy. Uważałem, że nie można wiecznie wierzyć w abstrakty, a odrzucać fakty. Co to znaczy wierzyć w jakiś cudowny ustrój, który sobie wyobrażamy, ale który jakoś się nie ziszcza?

Nie ma pana podpisu pod aktem założycielskim Komitetu Obrony Robotników...

Odpowiedź jest prosta. Po pierwsze, nie byłem postacią publiczną dostatecznie atrakcyjną, aby być w tym elitarnym gronie. Był też ważny warunek, bo działalność miała być jawna (może wszystkich zamkną, ale nie zabiją), w związku z tym członek-sygnatariusz musiał mieć adres zamieszkania, a nie wynajęty pokój, i telefon. Jak wiadomo, w Poznaniu członkiem-sygnatariuszem KOR był Barańczak.

Co to znaczyło być współpracownikiem KOR-u?

Choć profesorowie IPN jeszcze tego do końca nie rozstrzygnęli, to stwierdzić trzeba, że współpracownik KOR to była osoba, którą tak nazywano w biuletynie KOR-u za jej wiedzę i zgodą. O współpracownikach było wiadomo, że ściśle współdziałają z członkami KOR i robią m.in. to, czego ze zrozumiałych względów nie podejmują się sygnatariusze seniorzy. Jak to bywa w historii, po latach współpracowników KOR było znacznie więcej, niż ja pamiętam, bo okazywało się, że ktoś, kto podpisał jakiś protest, od razu uważał się za współpracownika KOR. Po skutecznej obronie i wsparciu represjonowanych robotników rozszerzono nazwę na Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”.

Czy uniwersytet pełnił jakąś rolę w opozycji 1976 - 1980?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie, bo uniwersytet to wielka instytucja. Mieliśmy za sobą co najmniej moralne wsparcie naszych akademickich nauczycieli. W przypadku polonistyki chyba wszystkich wykładowców. Była tam wyśmienita kadra. Mówiło się wtedy, że to najlepsza polonistyka w Polsce. Gdy doszło do protestów przeciwko zwolnieniu Staszka Barańczaka z uczelni, to mój rocznik protest podpisywał gremialnie. Byli jednak na UAM też tacy pracownicy na różnych szczeblach, którzy współpracowali z SB. Tak było też na wszystkich innych uczelniach.

Jaka była rola współpracownika KOR-u w Poznaniu w roku 1980?

Osoby doświadczone w działalności opozycyjnej związane z KOR-em, ROPCiO (Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela), Studenckim Komitetem Solidarności, Ruchem Młodej Polski, miały spore kwalifikacje do organizowania powstającej Solidarności. Ale to nie nasze niewielkie grono wywoływało w Poznaniu strajki latem 1980 r. Ten potencjał sprzeciwu był już w zakładach pracy. W sierpniu 1980 byłem dwukrotnie w Stoczni Gdańskiej, a moje kontakty na pewno przysłużyły się w tworzeniu NSZZ „Solidarność”.



Koncert Majowy pt. „My wszyscy z niego”